Stron 12

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 20 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 8 lutego 1948 r. Nr 6 (135)

W NUMERZE:

Jerzy Drewnowski

CHŁOPI Z ROBOTNIKAMI [1]

Sojusz chłopsko - robotniczy w oczach działacza ludowego [2]



Jerzy Drewnowski
Z-ca Sekretarza Generalnego S.L.

Zamieszczamy poniżej artykuł vice-ministra J. Drewnowskiego, zastępcy sekretarza generalnego S. L-u, jako wypowiedź polityka w sprawie dziś dla nas podstawowej: wzajemnego stosunku dwóch ruchów i klas ludowych — chłopów i robotników. Jest to kolejno druga wypowiedź po głosie Jerzego Tepichta (przemawiającego w imieniu P.P.R-u).

Redakcja.

***

„SOJUSZ CHŁOPSKO ROBOTNICZY stał się głównym znamieniem ludowego radykalizmu, kamieniem probierczym, pozwalającym odróżnić prawdziwych ludowców od fałszywych".

„Wytyczne ideowe Stronnictwa Ludowego", uchwalone na Radzie Naczelnej, w grudniu 1947 r. str. 3.

STOSUNKI BRATERSKIE

W każdej rodzinie robotniczej żyje jeszcze wspomnienie o ojcach czy dziadach i ich pracy **na wsi.** Stosunek wzajemny chłopa do robotnika posiada po dziś dzień cechy **rodzinnego** stosunku.

I nawzajem, nawet rodziny robotnicze, które już od kilku pokoleń żyją w miastach, utrzymują stosunki ze wsią i z ludźmi z tej wsi, skąd się wywodzą.

Ze wsi, gdzie bieda doskwierała chłopom do niemożliwości młodzież wiejska i nawet starsi, szukali drogi do miasta, do pracy w przemyśle. Drogę do miasta torowali najczęściej w okresie przedwojennym ci, którzy już uprzednio w mieście się „urządzili" a których we wsi jeszcze znano i pamiętano.

Znajomy robotnik był dla przybysza (najczęściej ze „swojej wsi") przewodnikiem i nauczycielem w pracy zawodowej, a jego izba jedynym miejscem zatrzymania się w obcym mieście.

Stosunki rodzinne między przybyłymi ze „swojej wsi" a robotnikami, którzy wcześniej powędrowali do miast oznaczały wspólną izbę mieszkalną, wspólne jedzenie, wspólne troski [3].

W latach Polski sanacyjnej mimo nędzy i mimo cierpień zarówno wśród chłopów jak i robotników nie wyrastała między nimi nienawiść (jak sobie tego życzyli obszarnicy i kapitaliści), ale utrzymywał się i pogłębiał braterski stosunek. Tworzył się wspólny front chłopów i robotników.

W Polsce Ludowej — ten braterski stosunek i sojusz walki rozwija się w zasadniczo odmiennych warunkach.

Przemysł w Polsce Ludowej potrzebuje robotników. **Nowe fabryki** i nowe urządzenia muszą być obsługiwane przez **nowych robotników.**

Cały roczny przyrost ludności w Polsce może być zatrudniony w naszym przemyśle. Prócz tego do końca Planu Odbudowy t. zn. do końca 1949 r. zatrudnimy w przemyśle **1 milion pracowników dodatkowo.** Rezerwy ludzi w Polsce mamy tylko na wsi. Sześćdziesiąt procent przyrostu naturalnego to również młodzież wiejska. A zatem nowi robotnicy — to w przytłaczającej większości chłopi lub młodzież chłopska, która już obecnie przechodzi przez szkoły przemysłowe.

Dzięki przeprowadzonym przez nas reformom około ½ miliona robotników rolnych (uprzednio pracujących u obszarników) stało się bądź samodzielnymi gospodarzami na ziemi — bądź przeszło do pracy w przemyśle. Dzięki naszym wysiłkom uprzemysłowienia wsi — coraz większa ilość chłopów, kobiet, młodzieży wiejskiej — pracuje na wsi w tartakach, serowiarniach, spółdzielczych mleczarniach, przetwórniach owoców, w fabrykach konserw warzywniczych, mięsnych, rybnych, w suszarniach grzybów, jagód, w przemyśle wikliniarskim czy zdobniczym, stolarniach, coraz częściej mechanicznych. Praca w tych spółdzielniach czy zakładach posiada **cechy pracy najemnej.**

W Polsce Ludowej zbliża i łączy chłopów i robotników **wspólny wysiłek dla podniesienia narodowej produkcji.** Świadomość chłopa, że każdy dodatkowy metr zboża stanowi o większym bogactwie ludowej ojczyzny i świadomość robotnika, produkującego ponad normę pogłębia sojusz chłopsko-robotniczy, tworzy nowe, wspólne wartości a zaciera w pamięci wszystko, co było głoszone o przeciwstawności ich interesów.

W naszych oczach — jak nigdy przed tym w Polsce i chłopi i robotnicy — mają **szeroką wspólną drogę awansu społecznego.**

Chłop - starosta współżyje i codziennie współpracuje z wieloma robotnikami — kierującymi ważnymi sprawami państwowymi. Jako oficerowie w wojsku spotykają się i stają się nierozłącznymi towarzyszami broni — syn chłopski i syn robotniczy.

Masy pracujące ożywione są wspólnym dążeniem owładnięcia kulturą narodu. Również zbliża nas wspólna obrona niepodległości Polski i pokoju w świecie.

ŁĄCZYŁ NAS JEDNAKOWY UCISK I WSPÓLNA Z NIM WALKA

W Polsce dowojennej rządzili ziemianin, fabrykant i hurtownik. Dlatego poczynając od granatowej policji, poprzez administrację i samorząd a kończąc na wojsku aparat państwowy służył ich interesom. Rządzące kliki musiały być posłuszne kapitalistom rodzimym i międzynarodowym.

Dziedzic mówił: ciągnę zysk z ziemi, ale w rzeczy samej ciągnął zyski z pracy chłopów. Chłopu można za pracę mało płacić, dlatego dziedzic nie kupował maszyn, ale starał się cały proces produkcyjny wykonać siłą rąk ludzkich. Prowadziło to do przywrócenia w nowych formach pańszczyzny na wsi i zacofania technicznego rolnictwa.

Dziedzic z potu chłopskiego budował fabryki, w których uciskał robotników.

Ale ten — nowy fabrykant wiedział, że wyciągnąć zysk z przedsiębiorstwa mógł tylko poprzez ucisk robotników podobny do uprzedniego chłopów.

Obszarnicy nie ograniczali się tylko do wyzysku robotników folwarcznych. Pozostając w zmowie z kapitalistami w ten sposób układali w Polsce stosunki, aby uciskać wszystkich chłopów gospodarzących na ziemi.

Różne były metody uzależnienia od dziedziców. W podatkach chłopów obciążano, a obszarnikom dawano ulgi. Kredyt w Banku Rolnym mógł otrzymać dziedzic — natomiast chłop musiał korzystać z lichwiarskiego kredytu. Spłacając zaciągnięte pożyczki — on i dzieci jego zobowiązane były do odrobku, tak jak to bywało za pańszczyzny.

Ogromna liczba chłopów małorolnych to gospodarze nie samodzielni, zmuszeni dorabiać we dworze. A dwór, pan i ekonomi — wiedzieli, że ci chłopi, chcąc, czy nie chcąc, muszą iść do nich do pracy. Dlatego wynagrodzenie za pracę we dworze było jakby jałmużną, rzuconą dla nędzarzy. Pamiętamy za jakie „grosze" chodziły całe wsie do pracy „na pańskim".

A nawet ceny za zboże, czy inne płody wiejskiego gospodarstwa różne były dla chłopów i dla dziedziców. Rząd sanacyjny dawał przywileje dla tych, co wywożą za granicę. Tylko obszarnik mógł eksportować — rozporządzał bowiem większymi zapasami. Nie było organizacji skupu produktów na eksport od chłopów, bo rząd do tego nie dopuszczał. A ceny eksportowe dla dziedziców znacznie przewyższały ceny krajowe. Także i wiele innych było sposobów (np. komasacja, melioracja), aby gnębić chłopów tak, jak również kapitaliści gnębili robotników.

Do stosunku braterskiego, jaki wiązał chłopów i robotników, dołączyła się konieczność walki z ciemiężycielem. Wspólna walka przyczyniała się do dalszego jednoczenia chłopów i robotników. Walkę w tamtych czasach nie w tym stopniu co dziś zorganizowaną, prowadziły masy chłopów i robotników przeciwko tym, którzy dzielili nas, aby nami rządzić. Dla tych rządzących chłopów i robotników, groźną była wspólna postawa i jedność działania chłopsko-robotniczego.

Nie stawiamy sobie za zadanie na tym miejscu przedstawienie historii waśnienia chłopów z robotnikami. Rzeczą niezbędną jednak jest wspomnieć niektóre choćby momenty z przeszłości.

Władysław Kowalski w „Grzmiącej" opisuje, jak szlachta w pole wywodziła chłopów tak, że działali sami przeciwko własnym interesom.

Stary chłop Kubas poucza młodego pastucha po swojemu, opowiadając przeczytany urywek książki (str. 203):

...„Znów chłopi bunt przeciw szlachcie podnieśli. To jeden szlachcic za dziada był przebrany, spotykał chłopów w boru i na czymś dziwacznym im grał. A te, psiekrwie głupie, zamiast nieznajomego dziada powiesić, to oni hulali, jak im grał. Potem dał znać szlachcie, gdzie chłopi są i szlachta znienacka ich otoczyła i rozumie się wyrąbała..."

Takich to swoich wysłanników skierowywali obszarnicy do partii chłopskich, lub wyszukiwali w ich łonie, byle je w pole wywodzić. Wyszukiwali ich spośród tych, którym imponował dwór i bogactwa. Było ich niemało. Działali różnymi sposobami, ale poznać ich można po tym, że każdy z nich ściągał chłopów z drogi wspólnego działania z robotnikami do współdziałania z kapitalistami-obszarnikami. Od Długoszów poprzez Miedzińskich (agent Piłsudskiego w „Wyzwoleniu") i Kościałkowskich — do Mikołajczyka, ciągnie się długie pasmo zdrad i rozłamów.

Miedzińskiego, byłego oficera wywiadu, legionistę, przyjął do swoich szeregów PSL „Piast". Rzecz jasna, że człowiek ten musiał stać najbliżej „Piastowców", czyli tych, którzy zawsze wąchali się z prawicą, zbaczając z drogi konsekwentnej i zdecydowanej walki. Został on posłem „Piasta" w 1922 roku. Potem wcisnął się razem z grupą Dąbskiego do „Wyzwolenia", aby tam również przeciwstawiać się chłopskim potrzebom, pilnować interesów sanacyjnego reżimu. W 1927 r. Miedziński jest jednym z tych, którzy namawiają działaczy chłopskich, aby szli do BB — rządzącej partii, z którą współpracowała arystokracja, ziemiaństwo i kapitaliści.

Scharakteryzowana postać Miedzińskiego to jedna z wielu sylwetek agentów, których rola w ruchu ludowym jest zupełnie wyraźna. To on potem (będąc ministrem i jednym z szefów BB) razem z Beckiem prowadzi Państwo Polskie ku upadkowi, paktując z Niemcami hitlerowskimi.

W podobny sposób werbowali sobie kapitaliści agentów w partiach robotniczych: jak Jaworowski, Moraczewski, Kwapiński, czy Arciszewski oraz wielu innych. Prawicowi przywódcy PPS i Związków Zawodowych w latach dowojennych nie dopuszczają do wspólnego działania robotników z chłopami w czym dopomagają im wyżej wspomniani, oszukujący chłopów rzekomo „ludowi", a właściwie — reakcyjni działacze.

„ZŁOTY ŚRODEK" AGRARYZMU CZYLI „TRZECIA SIŁA"

W tym czasie, kiedy całe życie gospodarcze w Polsce było zorganizowane dla wyciągnięcia największego zysku przez kapitalistów — zespalały się równocześnie siły chłopsko robotnicze dla zdecydowanej walki o władzę.

Od 1930 roku Polska jest widownią tysięcy manifestacji, strajków i walk robotników i (w latach późniejszych w dotąd niespotykanej mierze) chłopów, przeciwko rządom sanacyjnym. Wypadki biegną jedne za drugimi i wstrząsają opinią publiczną. Masy pracujące pojęły, że legalne formy walki o władzę, stosowane przez Centrolew zawiodły. Zarówno masy robotnicze jak i chłopskie dochodzą do wniosku, że zwyciężą tylko wtedy, kiedy stworzą jeden, wspólny front walki konsekwentnej i bez ustępstw. Wyrazem tej świadomości i konieczności walki są chociażby w tych latach zjazdy wiciowe, na których sformułowano wspólną ideologię chłopsko-robotniczą.

Nie można było bez odpowiedzi pozostawiać tych wołań i tych żądań młodzieży wiejskiej. Dla ich jakiegoś zaspokojenia i **uspokojenia** w 34 r. wychodzi książka Miłkowskiego, wskazująca „złoty środek" wytyczająca środkową, **trzecią drogę,** ani nie dla „rewolucyjnej" walki o władzę dla ludu, ani rzekomo, nie dla kapitalistycznego panowania.

Czy zdołał agraryzm wprowadzić chłopów i młodzież chłopską na tę właśnie trzecią — środkową drogę?

W czasie wielkich manifestacji (choćby wymienić Święto Ludowe 31 maja 1936 r. z udziałem ponad miliona chłopów w całej Polsce) postawa mas chłopskich była całkowicie jednolita: wroga wobec rządów sanacyjnych. W ślad za manifestacjami idą krwawe wystąpienia chłopów przeciwko rządowi sanacyjnemu:

2 lipca 1938 r. Krzeczowice i Ostrów Tallgowski. 12 zabitych i kilkudziesięciu rannych chłopów.

17 września 33 r. krwawa pacyfikacja chłopów zamojszczyzny, setki chłopów pobitych — wielu osadzonych w więzieniach i setki procesów politycznych przeciwko chłopom.

Przykładów takich można podawać wiele. Mówią one o woli walki o rządy ludowe w Polsce.

Tymczasem w roku 1936 Miłkowski wydaje już drugą pracę o agraryzmie — nazywając agraryzm — **ideologią chłopską.**

Ale młodzieży chłopskiej i chłopom idącym na Jadów czy Łapanów obcą była ideologia złotego środka. Masy wybrały drogę walki.

Czy ta ideologia jest ideologią tej walki, którą masy chłopskie samorzutnie od lat już podejmowały?

Miłkowski w „Walce o Nową Polskę" w 1930 r. pisze: „Wali się w gruzy kapitalizm oparty na liberaliźmie, w Rosji Sowieckiej komunizm cofa się z poprzednio wyznaczonych pozycji — w ich miejsce wchodzi **agraryzm ze swoją syntezą złotego środka,** jako doktryna wyrastająca bezpośrednio z życia w odniesieniu do konkretnej rzeczywistości polskiej". (Podkreślenie moje — J. D.).

Uderza nas podobieństwo wypowiedzi Miłkowskiego z wypowiedziami obecnie głoszonymi za granicą o konieczności tworzenia **„trzeciej" siły** nie opierającej się ani o porewolucyjny typ państwa ludowego ani o kapitalizm.

Miłkowski nie dostrzega trupów chłopskich padłych w walce z kapitalizmem i rządem sanacyjnym w Polsce! Pisze: „wali się w gruzy kapitalizm" ale prawdą było, że walił się w stopniu, w jakim obok robotników i chłopi usiłowali zwalić w gruzy kapitalizm w Polsce.

W 1937 r. Przewodniczący Rady Naczelnej Stronnictwa Ludowego Stanisław Thugutt nawołuje NKW razem z Gralińskim, Bogusławskim i innymi do organizowania strajku chłopów i robotników.

Przeciwko Thuguttowi i jego hasłu o jedności działania z robotnikami występuje Mikołajczyk — ten sam, który w roku ubiegłym, a więc w 10 lat później — swoją ucieczką z kraju — odsłania haniebnie swoją służalczość dla międzynarodowych kapitalistów.

Wystąpienia Mikołajczyka idą w 37 roku po linii największej troski sanacji. Rząd bał się wówczas tylko jednego: zwartego działania mas pracujących. Zdolny był podjąć walkę osobno z chłopami i osobno z robotnikami. Ale jeden front **ludowy** — oznaczał dla

---

[1] Artykuł napisany dla tygodnika społeczno-literackiego „Wieś" (przypisek autora).

[2] Przypominamy artykuł Jerzego Tepichta: „Sojusz robotniczo - chłopski w oczach Pepeerowca" „Wieś" Nr 43 (122)

[3] Patrz: Jerzy Faleńciak „Moje Pokolenie" „Wieś" Nr 48 (127) Artykuł ten porusza zagadnienie „pekinów", osiedli robotniczych w Warszawie i Łodzi powstałych pod koniec w. XIX z chłopów. (Przyp. Red).

sanacji **klęskę.** Mikołajczyk idzie na rękę sanacji — wypowiada się przeciwko jednolitemu działaniu.

Ta akcja Mikołajczyka zbiega się z akcją PPS. Przeciwko jedności działania chłopów z robotnikami stają niektórzy prawicowi przywódcy PPS: Pużak, Kwapiński, Zaręba powodują, że Stronnictwo Ludowe nie uzyskuje porozumienia z PPS w sprawie strajku.

Natomiast strajk chłopski uchwalony na Kongresie SL w styczniu 1937 r. podjęty w sierpniu — otrzymuje pełne poparcie jednolitofrontowej lewicy robotniczej a zwłaszcza nielegalnie działających komunistów. W wielu miejscowościach masy robotnicze z szeregów PPS ale przede wszystkim KPP wspierają strajk solidarnymi wystąpieniami. Odezwa wydana przez Komitet Centralny Komunistycznej Partii Polskiej w roku 1937 głosiła:

„Na cały kraj rozległ się donośny głos ludu wiejskiego, który 15 sierpnia br. w potężnych demonstracjach domagał się uznania praw chłopa — współgospodarza Polski"... „Towarzysze robotnicy... pracownicy! Ludności miejska! Walka wsi musi znaleźć jak najpełniejsze poparcie miast!...

„Ułatwioną ma faszyzm robotę wskutek niedopuszczalnego stanowiska prawicowych przywódców PPS i Związków Zawodowych. Nie dość, że sprzeciwiali się oni wspólnym wystąpieniom robotniczo-chłopskim w dniu 15 sierpnia... nadal nic nie robią dla okazania masom chłopskim pomocy ze strony walczącego proletariatu".

Z doświadczeń zmagań i walk — jasno wynikała konieczność wspólnej walki lewicy chłopskiej i lewicy robotniczej dla obalenia sanacyjnej władzy.

Tymczasem agraryści milczeli na temat konieczności walki a szerzyli ducha **kompromisu** w stosunku do klas posiadających zaś ducha **nieufności** w stosunku **do klasy robotniczej**[4]).

Ruch grupy agrarystów odegrał w latach 36 i 37 i następnych typową rolę **trzeciej siły,** którą panujący wyzyskiwacze powołują do życia zawsze wtedy, kiedy im się pali grunt pod nogami.

Masy chłopskie rozrzucone po wsiach niezdolne do mobilizacji swoich sił w czasie tak krótkim, jakby należało, pozbawione możliwości kontaktu i wymiany poglądów — w większej mierze, aniżeli miejski proletariat, zmuszone były zawierzyć swoim przywódcom.

Jeżeli część tych przywódców przyjęła za swoją drogę działania — „złoty środek" agraryzmu, a więc hołdowała w rezultacie złotemu cielcowi kapitału — zrozumiałą jest rzeczą, że sprawa jedności z robotnikami w walce o władzę w latach dowojennych — nie mogła być i nie była przekuta w czyn.

Wskutek tego w okresie okupacji hitlerowskiej ponieśliśmy dodatkowo, niezliczone straty narodowe.

Nie tu pora wyliczać razy zadane przez okupanta hitlerowskiego. Faktem jest, że powiększyło je to, iż kierownictwo politycznym ruchem oporu objęli w pewnym okresie ci, którzy nas karmili przed wojną obcą masom chłopskim ideologią „złotego środka" agraryzmu, dlatego w ciężkich warunkach walki podziemnej musieli tłumaczyć że wspólnym jest interes mas chłopskich z interesem klas posiadających. Pchali nas w ten sposób pod komendę Londynu do walk bratobójczych, do niezgody z robotnikami.

Jednak w tych powojennych zmaganiach z Niemcami i ideologiczną okupacją endo — sanacji, kryjącą się pod agrarystycznymi hasłami — zwyciężyły masy chłopskie w oparciu o lewicę robotniczą. Osiągnęliśmy zwycięstwo, utworzyliśmy Rząd Jedności Chłopsko-Robotniczej:

1) pozbyliśmy się okupacji,
2) utworzyliśmy rząd ludowy,
3) znieśliśmy podstawy kapitalistycznego ustroju wyzysku: prywatną własność fabryk, folwarków i banków,
4) rozładowaliśmy podziemie polityczne, w znacznej mierze gospodarcze,
5) budujemy silną gospodarczo Polskę w oparciu o własny uspołeczniony trud i o sojusze z ludowymi państwami słowiańskimi.

Ale i obecnie jeszcze próby podważania jedności chłopsko-robotniczej nie ustają.

Rozkład PSL jest widomym znakiem naszych zwycięstw. Ale ten rozkład nie oznacza, że wrogie żywioły zrezygnowały z walki.

Dzisiaj ich usiłowania są bardziej zamaskowane, chytrzejsze. Zarazem są bardziej związane z usiłowaniami dywersji na terenie robotniczym.

Wiele przykładów można by przytoczyć, lecz ograniczymy się tu do dwu, naszym zdaniem — typowych, najważniejszych.

„DYKTAT"

Jeden z czołowych przywódców po-mikołajczykowskiego PSL, kilka miesięcy temu, zwracając się pod adresem partii robotniczych w imieniu działaczy ludowych (tak przynajmniej należy sądzić z tonu wyrażeń) zakończył swój artykuł następującym wykrzyknikiem:

— „Dyktat — nie!" Dyktat dla mas ludowych jakiegokolwiek kraju, może być dzisiaj jeden tylko. To dyktat kapitalistów. Kapitaliści amerykańscy w Stanach Zjednoczonych i wszystkich państwach Ameryki używają go w stosunku do mas pracujących. Ugniatają oni całe narody, stwarzając małe grupy uprzywilejowanych bogaczy. Dyktat stosują kapitaliści międzynarodowi w stosunku do Anglii. Usiłują go stosować we Francji i we Włoszech, gdzie napotykają na opór mas ludowych.

Ten dyktat jest widoczny, namacalny, zna go omal całe polskie społeczeństwo i wyczuwa go między wierszami wszystkich wiadomości, jakie napływają z tamtych krajów. Zna polskie społeczeństwo fakt, że ci sami kapitaliści międzynarodowi usiłują stosować dyktat w Grecji — ale Grecy zbrojnie przeciwko temu dyktatowi występują — odnosząc zwycięstwa, o których wieści z radością witamy.

Nie, dyktatu ze strony robotników w stosunku do chłopów w Polsce — nie obserwowało i nie obserwuje nasze społeczeństwo. Ze wspomnianego artykułu sądzić należy, że autor artykułu, a z nim i niektórzy inni działacze uważają, że dyktat ten ma jednak miejsce. Szerzenie takiej opinii prowadzi do podważania jedności działania chłopów i robotników. Do zmiany współdziałania na zwalczanie. Wiemy, aż nadto, że zwalczanie się chłopów z robotnikami zawsze powodowało i dziś może spowodować utratę władzy ludowej w państwie — co oznacza wznowienie rządów kapitalistycznych.

Naszym zdaniem, ten kto zarzuca robotnikom stosowanie dyktatu wobec chłopów — dąży do podporządkowania nas temu rzeczywistemu dyktatowi: obszarniczo-kapitalistycznemu! Kiedyś był to dyktat rodzimych obszarników i kapitalistów o pośredniej zależności od zagranicy — dzisiaj już byłby on przede wszystkim **dyktatem zagranicznym.**

Szerzenie tej opinii jest wyrazem pozornie chłopskiej ideologii, opierającej się na tradycjach rozbijania jedności chłopów i robotników. Taka akcja nawiązuje do błędnej tradycji prawicowych wypaczeń ruchu ludowego[5]).

Stronnictwo Ludowe, które ma za sobą wielki dorobek w dziedzinie budowania Polski Ludowej

1) jest Stronnictwem samodzielnym
2) żadnego dyktatu nie słucha, prócz racji stanu i żądań mas ludowych.

O tych dwu prawdach wszyscy wiedzą i można by już dawno o nich nie pisać, gdyby właśnie nie te grupy, które bądź w odradzającym się PSL, bądź w innych ośrodkach ruchu ludowego — podają z ust do ust wiadomości o istnieniu dyktatu robotników wobec chłopów. Zazwyczaj tacy działacze nie mówią ani słowem o dyktacie kapitalistów, którym swoją akcją dopomagają.

Józef Niećko, prezes nowego PSL słusznie pisał o tym, że jeśli jakieś organizacje łączą się sojuszem to nie tracą one swej samodzielności, ale ją **dobrowolnie, obustronnie ograniczają.** Ograniczenie następuje na skutek **uzgadniania działalności** z interesami sprzymierzonych organizacji. Poprawki dotyczą tak jednej jak i drugiej strony. Dzięki tym ograniczeniom zostaje **wytyczona droga działania, jedyna dla obu sojuszników,** uchylająca wszelkie możliwe a niekorzystne zatargi i sprzeczności. Takie zasady obowiązują zarówno w przymierzach między narodami, jak i w umowach o współpracy między organizacjami (nawet typu handlowego).

Wyrażenie „dyktat — nie" przypomina znaną formułę „Chłop potęgą jest i basta".

My, działacze ludowi, stawiający jako nasze czołowe hasło realizację sojuszu chłopsko-robotniczego, pracujemy na to, aby warstwa chłopska osiągnęła gospodarczo i kulturalnie wyższy, wspólny, jednolito-narodowy poziom. Uważamy, że to stanowi ową „potęgę chłopską". Podnosząc życie kulturalne i gospodarcze wsi masy chłopskie wyzwalają się i w ten sposób wchodzą do samodzielnego pełnego życia. Podnosić życie kulturalne i gospodarcze wsi możemy jedynie w warunkach Polski Ludowej w oparciu o chłopsko-robotniczy rząd. Rząd tylko chłopski z pominięciem robotników, jest nie do utrzymania, gdyż oznaczałoby to wyrzeczenie się obalenia obszarniczo-kapitalistycznego porządku, powrót do zacofania cywilizacyjnego, ruiny gospodarczej, bezsilności państwowej i utraty niepodległości.

Dlatego choć budujemy „potęgę chłopską" — nie mówimy „chłop potęgą jest i basta!" Ci, którzy to hasło głoszą, oddzielają sprawę chłopów od sprawy **całości świata mas pracujących.** W ten sposób podważają rząd pełnej reprezentacji ludu pracującego. W ten sposób występują przeciw samodzielności chłopskiej. Ci działacze, którzy gadają o robotniczym dyktacie, siłą rzeczy zaprzedają masy chłopskie pod dyktat kapitalistów tzn. z powrotem w tę niewolę społeczną wsi, jaką ona przeżywała. I tylko w perspektywie tego kierunku widać, jak wolność kurczy się rzeczywiście aż do zupełnego zaniku.

Słowo „basta" oznacza „sam", oznacza: „na resztę gwiżdżę". Nie znamy faktów, aby przywódcy proletariatu mówili robotnikom, że sami stanowią potęgę.

Odwrotnie, przywódcy robotnicy mówią o konieczności „nie — solowego" (nie — pojedyńczego) działania, lecz właśnie **wspólnego z chłopami.**

Stronnictwo Ludowe opiera się na zasadzie wspólnego działania chłopsko-robotniczego. Obalamy ostatecznie te „chińskie mury", które starano się wznosić między chłopami i robotnikami. Obalamy dziedzicząc tradycję wielu dziesięcioleci szukania się wzajemnego ludu wsi i miast, ludu jednako ciemiężonego, jednako pracującego i jednako marzącego o lepszym porządku świata.

Jerzy Drewnowski

4) W książce J. A. Króla „Drogowskazy na manowcach kultury ludowej", wydanej rok temu, został poświęcony cały rozdział szczegółowej analizie „agraryzmu" w Polsce i zagranicą a w szczególności tzw. „Miłkowszczyzny". W drugim półroczu r. ub. „Wieś" drukowała cykl artykułów na ten sam temat w odniesieniu do kręgu ideologicznego „Młodej Myśli Ludowej" w latach 1933—38. Viceminister Drewnowski, przedstawiając polityczną rolę „agraryzmu" czuł się dlatego zwolniony wobec czytelników „Wsi" od powtórnej analizy tej ideologii w jej aspekcie gospodarczym i filozoficznym. (Przypisek redakcji).

5) „Wieś" problem ten szeroko rozpracowała w artykułach o kapitalizmie na wsi, micie parceli, o polityce ruchu ludowego w Galicji (Król), o oświacie dla ludu (Brodowska), o drogach spółdzielczości na wsi (Jażdżyński) i o wchodzeniu wsi w kulturę drobnomieszczańską (Kamieńska) i t. p.

Wiesław Jażdżyński

WOJENNE ZYSKI I POWOJENNE KŁOPOTY

Jeszcze nawet i dziś przedstawiają się Stany Zjednoczone A. P. w wyobraźni przeciętnego obywatela Europy (zwłaszcza zachodniej), jako najbogatszy w świecie kraj, gdzie jako rezultat sprawiedliwie rozdzielanego dochodu społecznego, pojawił się szczęśliwy robotnik, jeżdżący co wieczór własnym samochodem na koncert, do kina, lub teatru.

Tymczasem analiza stosunków w produkcji przemysłowej U.S.A., daje zupełnie inny obraz sytuacji społecznej, daleki od wyobrażeń przeciętnego Europejczyka.

Stosunki w produkcji amerykańskiej, a z tym i sytuacja społeczna tego kraju rozwijają się pod wpływem nielicznej grupy monopolistów i przedstawiają z jednej strony narastanie bogactw wielkich przemysłowców, z drugiej zwiększenie się dysproporcji w rozdziale dochodu społecznego i pogłębienie nędzy robotników.

Amerykańscy kapitaliści wzbogacili się gwałtownie po raz pierwszy już w czasie pierwszej wojny światowej. Jak wiadomo USA przystąpiły do niej przy samym końcu, bo dopiero wiosną 1917 roku, jakkolwiek i do tego momentu polityka neutralności przyniosła fabrykantom amerykańskim poważne zyski.

Wykonując na bardzo dogodnych warunkach zamówienia wojenne Ententy umorzyły U.S.A. w toku wojny cały swój dług zaciągnięty w Europie na 6 miliardów dolarów i zdołały zainwestować 10 miliardów dolarów w przedsiębiorstwa zagraniczne. W chwili zakończenia wojny okazało się, że przeszło 50 proc. światowego złota spoczęło w bankach amerykańskich.

W roku 1930 opublikowało amerykańskie czasopismo „World" bardzo ciekawe dane wskazujące na olbrzymie zyski wojenne niektórych firm. Monopol rudy miedzianej Anakonda płacił w 1916 roku 22 dolary dywidendy od akcji, a więc 45 razy więcej niż do roku 1914. Koncern Doupont de Nemur płacił w tym samym czasie — 100 dol. za zwykłą akcję, czyli o 70 dol. więcej, niż w roku 1915. W latach 1916 — 1918 dochody amerykańskich karteli i trustów przewyższały o 4.800 milionów dolarów, zyski z lat 1912 — 1914.

W przeciągu kilku lat wojny liczba milionerów wzrosła trzy razy, a tempo koncentracji kapitału i cywilizacji produkcji znacznie wzrosło. Wystarczy tylko wspomnieć, że ogólna liczba przedsiębiorstw produkcyjnych więcej niż za milion dolarów rocznie, wzrosła w latach pierwszej wojny światowej prawie trzykrotnie.

Wielkie monopole zyskiwały automatycznie coraz to większy wpływ na wewnętrzną i zagraniczną politykę kraju. Wiadomo np. że dom bankierski Morgana finansujący amerykańskie dostawy wojenne, nalegał aby U.S.A., przystąpiły do wojny po stronie dłużników. Działo się to w momencie kiedy sytuacja Anglii pogorszyła się i wzrosły obawy amerykańskiej finansjery o losy jej kredytów w Anglii.

Nie inaczej było — w czasie drugiej wojny światowej, do której przystąpiły Stany Zjednoczone w momenecie, kiedy los Anglii, a więc i kredytów amerykańskich był bardzo niepewny.

Prezydent Roosevelt zapowiedział wprawdzie ostrą kontrolę zysków wojennych amerykańskich przedsiębiorstw, jednak dane Ministerstwa Handlu USA wskazują, że czysty dochód wszystkich amerykańskich korporacji przemysłowych za lata 1940 — 1945 przewyższał 52 miliardy dolarów.

Dochody koncernu Westing House Elektric and Manufacturing Company wynosiły w roku 1942 — 487 milj. dolarów, w 1943 — 709 milj. dol., w roku 1944 — już 836 milj. dolarów. Wojenne dochody amerykańskich trustów lotniczych już po pierwszym roku wojny przewyższały włożony w nie kapitał 5 — 6 razy. Należy przytem pamiętać, że monopole nie lubią publikować dokładnie swoich zysków.

Druga wojna światowa jeszcze w znaczniejszym stopniu przyśpieszyła proces koncentracji kapitału i centralizacji produkcji.

Przymus kartelizacji, wzmożenie konkurencji, wstrzymanie dostaw surowcowych dla niewojennych gałęzi produkcji, wysokie ceny, wreszcie rządowe obstalunki i kredyty sprzyjały kumulacji kapitału i centralizowały przemysł. Rząd USA wybudował w czasie wojny 2.600 fabryk za sumę 15 milj. dolarów, które eksploatowały najpierw prywatne przedsiębiorstwa a z chwilą zawarcia pokoju fabryki, te kupiły za bezcen wielkie monopole. Podczas wojny zamknięto 2 miliony średnich i drobnych przedsiębiorstw. W tym samym czasie ilość korporacji przemysłowych, zatrudniających ponad 10 tys. robotników wzrosła z 49 do 344.

Obecnie pracuje w Stanach Zjednoczonych 8 wielkich grup kapitału finansowego, skupiających olbrzymie bogactwa. Np. majątek osobisty Rockefellerów przewyższa 2,5 miliarda dolarów. Aktywa towarzystw akcyjnych grupy Morgana wynoszą 77,6 miliardów dolarów.

Polityka rządu U.S.A. zapewniająca monopolom całkowitą swobodę działania, zwiększyła ich dochody sięgające cyfr nie spotykanych dotąd w Stanach Zjednoczonych. W roku 1945 — dochody te wynosiły na czysto 9 miliardów dol., w roku 1946 — 12 miljd. dol. a w roku 1947 już 15 miljd. dol.

Amerykańscy monopoliści nie gardzili żadnym zyskiem, nawet gdy godził w interesy polityczne U. S. A., i ich sprzymierzeńców. Znane są przecież patentowane umowy koncernów. Doupont de Nemur czy Standart Oil of. New Jersey z niemieckimi koncernami A.G. Farbenindustrie, czy umowy General Elektric Company z Kruppem i Zeissem. Związek amerykańskich koncernów z niemieckimi trwa i dziś, a nawet się pogłębia. Zwrócił na to uwagę znakomity publicysta francuski — Georg Blun — znawca stosunków w przemyśle niemieckim w czasopiśmie „Le monde". „Prócz części słynnych fabryk Kruppa i fabryk benzyny syntetycznej — pisze Blun — cały prawie przemysł Zagłębia Ruhry został jakby dziwnym cudem uchroniony od zniszczenia". Zainwestowany w Zagłębie Ruhry kapitał amerykański spowodował, że pracuje ono już w 70 proc.

O ile sytuacja ekonomiczna U.S.A. charakteryzuje się na odcinku dyspozycji gospodarczej, nie mającym dotąd precedensu, wzrostem bogactw nielicznych korporacji, przemysłowych i finansowych, o tyle na odcinku pracy spotykamy się z rosnącą pauperyzacją robotników i dalszą obniżką ich stopy życiowej.

Departament Pracy Rządu Stanów Zjednoczonych ogłosił, że w latach 1946 — 47, strajkowało 6.800.000 robotników 8.600 razy, a liczba bezrobotnych wynosiła 2.400.000.

Literatura ekonomiczna U.S.A., rozpowszechnia pogląd, że zarobki robotników amerykańskich w czasie ostatniej wojny i po wojnie znacznie wzrosły. Tymczasem dane pochodzące z Departamentu Pracy Zarządu Wojennego Przemysłu pokazują wyraźnie, że stawki płacy robotniczej, wzrosły w czasie wojny o 20 proc., podczas gdy koszt utrzymania podniósł się o 43 proc. Fundusz zarobkowy przemysłu amerykańskieego obniżył się o 24 proc. w roku 1946 w stosunku do roku 1944, a ceny żywności znacznie wzrosły. Np. ceny artykułów spożywczych podniosły się w tym czasie o 26,3 proc., na produkty mięsne o 42,3 proc. na mleczne 36,9 proc.

Rzecz prosta, nawet w Stanach Zjednoczonych nie dadzą się ukryć społeczne konsekwencje w stosunkach kapitalistycznej produkcji.

Najtęższi ekonomiści łamią sobie głowy nad rozwiązaniem zaostrzającego się problemu zatrudnienia w swoim kraju, gdzie wzrasta groźba możliwości walk klasowych.

W zredagowanej przez prof. ekonomiki Seymoura Harrisa pracy zbiorowej 22 amerykańskich ekonomistów pt.: „Odbudowa ekonomiczna" („Economic Reconstruction" New York, 1946), podjęto m. in. próbę teoretyczną osiągnięcia pełnego zatrudnienia w U.S.A. Ustalono, że dla utrzymania wysokiego stanu zatrudnienia potrzebne jest osiągnięcie ogólnej produkcji za sumę 200 miliardów dolarów rocznie, przyjmując ceny z roku 1944. W roku 1944 ogólna produkcja przemysłu amerykańskiego osiągnęła wartość 194 miliardów dolarów, czyli 167 miliardów dolarów wg. cen z 1944 roku. Potrzeba zatem podnieść wartość produkcji o 20 proc., aby uzyskać pełne zatrudnienie. Amerykańscy ekonomiści zapomnieli jednak, że po wojnie liczba zwolnionych z pracy w przemysłach wojennych — robotników znacznie się zwiększy. Wiadomo przecież, że usunięto w latach 1945/46, około 5 milj. ludzi, z których tylko 2.400.000 zechciało zarejestrować się jako bezrobotni.

Uczeni ekonomiści zapomnieli również, że w latach 1947—50 ludność USA, powiększy się o 3 — 4 miliony, a drugie tyle otrzyma się z mobilizacji armii i likwidacji wojennego aparatu administracyjnego.

Amerykańscy znawcy zapomnieli o postępie technicznym w kapitalistycznej produkcji, który rok rocznie zwiększa kosztem robotnika o 3 proc. wydajność maszyny.

Można się zatem spodziewać, że w kapitalistycznych stosunkach produkcji nigdy nie będzie stanu pełnego zatrudnienia. A liczba bezrobotnych w U.S.A., osiągnie w 1950 roku 7 — 8 milionów.

Tego nie przewidują profesorowie z amerykańskich uniwersytetów, ponieważ w dalszy ciągu nie chcą uwierzyć w prawa rozwojowe kapitalistycznej produkcji, powodujące z jednej strony akumulację kapitału, z drugiej — pauperyzację robotników, ponieważ, nie widzą oni anarchii w wyniku wolnej konkurencji i antagonistycznego podziału dochodu społecznego.

Wydaje się, że w roku 1950 zamiast zobaczyć pełne zatrudnienie, będą musieli uzupełniać luki w swej wiedzy ekonomicznej.

Kazimierz Bartoszyński

POZYTYWISTYCZNE NOWELE*)



Henryk Sienkiewicz

WYCHOWAĆ KONSUMENTA OPOWIADAŃ!

Niewielkie formy powieściowe, wśród nich tzw. nowela, nie są w Polsce na ogół uważane za podstawowy artykuł produkcji literackiej. Rozwijają się w pewnym stopniu, niezależnie od rewolucji literackich. W dyskusjach na temat prozy artystycznej przysłaniane są sprawami powieści. Być może jest to następstwem braku w naszej literaturze pisarza, który uczyniłby opowiadanie punktem centralnym swojej twórczości, jakiegoś Czechowa czy Maupassanta. Ów słaby rozwój kultury **dobrego opowiadania** wyraża się między innymi w formach czytelnictwa tego gatunku literackiego. Nowele czytuje się u nas czasem w zbiorowych edycjach pisarzy, włączone w całokształt ich twórczości, jako uzupełnienie jej obrazu. Ta forma lektury nie jest jednak częsta z braku wydań zbiorowych. Nierównie częściej bywa poznawana nowela na sposób „antologiczny": w wypisach szkolnych czy w osobnym tomiku tkwi jakiś „Ksiądz Piotr" czy „Katarynka" wyrwane z wszelkiego kontekstu literackiego. Wydaje się rzeczą bardzo pożądaną **stworzenie mało spotykanego u nas typu konsumenta opowiadań,** czytelnika, który umiałby ujrzeć np. nowelistykę Iwaszkiewicza na tle Orzeszkowej i Konopnickiej, potrafiłby zobaczyć pewną powiązaną, wzajemnie się warunkującą całość w tych setkach napozór izolowanych opowiadań, które wzbogacają naszą literaturę od czasów pozytywizmu. Jeśli chodzi o inne rodzaje literackie, owa umiejętność widzenia całościowego stoi o wiele wyżej; w dziedzinie nowelistyki zależna jest w dużym stopniu **od techniki wydawniczej.** Stworzenie cyklu zbiorów opowiadań w rodzaju tomu Żeromskiego „Opowiadania, nowele, fragmenty", opracowanego przez K. Wykę, byłoby prawdopodobnie przedsięwzięciem pożądanym.

Ostatnie wydania najbardziej znanych nowel epoki pozytywizmu idą po linii tradycyjnej: zaspokojenia potrzeb szkolnictwa tanimi tomikami. Tradycja ta winna być jednak dopełniona wydawnictwami o typie wyżej omówionym, zwłaszcza jeśli chodzi o pozytywizm. Istotnym względem jest tu skierowanie noweli pozytywistycznych w ręce **czytelnika dojrzałego.** Konopnicka, Prus, Orzeszkowa, Sienkiewicz należą od dawna jako noweliści do kanonu lektur szkolnych, oczywiście w pewnym wyborze; stworzenie kultury dobrego opowiadania wymaga, by byli czytywani poza tym kanonem, w rozleglejszym kontekście, przez czytelnika dojrzalszego. Trzeba nowele owe oczyścić z deprecjacji, jakiej ulegają lektury lat wczesnych, często zresztą z pozoru tylko do wieku dostosowane (jak wiele spośród nowel Konopnickiej). Jedynie seria zbiorów antologicznych, obejmujących też utwory osobno niewydawane, z racji nieprzydatności do lektury szkolnej umożliwi spojrzenie na nowelistykę pozytywistyczną dorosłymi oczyma.



Maria Konopnicka

PRUS PISARZ KONSTRUKTOR

Odczytanie w bezpośrednim następstwie szeregu opowiadań Prusa, Konopnickiej i Sienkiewicza (Orzeszkowej wydano jedynie „A.B.C."), pozwala na dość wyraziste ich skontrastowanie i uchwycenie postaw atuorskich, których się stały wyrazem. Spośród opowiadań Prusa otrzymujemy w nowych edycjach pewien, stale zresztą powtarzany wybór pomijający nowele, fabularne, interesujące swą intrygą, a wysuwający opowieści moralno-społeczne. Jest to wybór trafny także i ze względów artystycznych, choć nowele intrygi jak „Z legend dawnego Egiptu", a może i niektóre inne zasługiwałyby na reedycję, choćby dla pokazania wielostronności beletrystyki Prusa.

Tym, co bardzo uderza u Prusa czytelnika dzisiejszego jest ogromna siła i świadoma selekcja materiału opowieści. Konsument obyty z wielopłaszczyznowością i pewną bezkształtnością współczesnej powieści jest szczególnie uwrażliwiony na właściwą Prusowi **wyrazistość metody dobierania i porządkowania** elementów noweli. Prus jest typowym **pisarzem-konstruktorem,** budującym swe opowiadania według schematu krępującego swobodę pisarskiego empiryzmu, a uniemożliwiającego rozwinięcie się epiki. Takie chociażby opowieści moralno-społeczne, jak „Antek" czy „Powracająca fala" są przykładami ścisłego przykrojenia zarówno momentów opisowych, jak dynamicznych do potrzeb ujrzanego z góry schematu, którego treścią jest w pierwszym wypadku „marnowanie się jednostki niezwykłej, dzięki niewłaściwemu porządkowi socjalnemu". W drugim „nieubłagana zależność winy i kary". Schematyczność, aprioryczne selekcjonowanie materiału opowieści mogą działać obniżająco na jakość utworu, czasem jednak, jak to jest u Prusa, stają się źródłem efektu specjalnego: umożliwiają śledzenie związków przyczynowych, spełniają funkcje porządkująco-poznawcze, przełamują chaotyczność faktów. Tylko dla pisarza-konstruktora, wychodzącego z doświadczenia w świat swych schematów poznawczych, możliwe są owe efekty przejrzystego porządkowania.

Tendencja do opanowania intelektualnego, interpretowania, komentowania wyraża się w niektórych skłonnościach stylu Prusa. Styl ten, w miejscach, gdzie zostaje uwidoczniony, zmierza wyraźnie ku ironii. — Eufemistyczna ironia Prusa, ujmująca negatywne zjawiska w pozornie aprobujących formułach, stwarza fikcję specjalnie podsuniętego podmiotu narracji: narratora „nieuprzedzonego", objektywnego, bezkrytycznego, tak ulubionego przez XVIII wiecznych racjonalistów „prostaczka". Owo wprowadzenie pseudonaiwnego opowiadacza — ironisty jest stylistycznym wyrazem tendencji do nieustannego interpretowania, poznawczego porządkowania faktów, ukrytej pod pozorami empirycznego relacjonowania.

Wydaje się, że schematyzujący konstruktywizm i interpretująca ironia są cechami odsłaniającymi w pewnym stopniu postawę społeczną, warunkującą twórczość Prusa. Naukowe doszukiwanie się związków przyczynowych w różnych dziedzinach rzeczywistości,, wnikanie w mechanizm przemian społecznych (upadek szlachty posiadającej, niedorozwój mieszczaństwa itd., odkrywanie prawidłowości świata wartości moralnych (zagadnienie ewolucji moralnej, zagadnienie zasady „miłości bliźniego") — oto cechy intelektualisty usiłującego objąć swym horyzontem problemy różnych składników społeczeństwa, tkwiącego jednak głęboko w dziedziczącej tradycję szlachecką inteligencji. Charakterystycznym jest tu fakt, że traktowanemu jako „zwyczajność" światu mieszczańskiemu przeciwstawia się wyraźnie świat wsi ujmowany przy pomocy „chwytów uniezwykłających" jako egzotyka (w „Antku") lub sielanka (w „Przygodzie Stasia").

W nielicznych tylko utworach udało się Prusowi nadać swym schematycznym i nastawionym na cele poznawcze opowieściom moralnym walor artystyczny. Powiodło się to niewątpliwie w takich opowiadaniach jak „Michałko", „Antek", „Powracająca fala", „Katarynka"... Negatywnym wynikiem tej metody twórczej są liczne utwory chybione: „W walce z życiem", „Poeta i świat", „Nowe prądy"... Wspomniany epicki charakter „Omyłki", „Grzechów dzieciństwa" i „Przygody Stasia" każe traktować je odrębnie i dopatrywać się w nich innych zasad konstrukcyjnych niż w omawianych „opowieściach moralnych". Granicznym wypadkiem noweli Prusa, zbliżającym go do Konopnickiej są owe jakby „monografie cierpienia": słynna „Kamizelka" i zapomniany „Lokator poddasza". Doszukująca się związków przyczynowych pasja badacza ustąpiła w nich miejsca dążeniu do humanitarnego współczucia.

Jeśli chodzi o potrzeby wydawnicze, należałoby domagać się reedycji pewnych obszerniejszych, zdawna niewydawanych utworów Prusa. Mam na myśli najlepsze jego opowiadania parodystyczno - ironiczne, młodzieńcze „Kłopoty babuni" oraz ciekawe kompozycyjnie „Ze wspomnień cyklisty", produkt lat ostatnich.

U KONOPNICKIEJ — „EGZOTYKA PSYCHICZNA"

Jakaś idealna antologia opowiadań Prusa objęłaby prawdopodobnie wszystkie niedawno wznowione, do tego kilka innych, co do których wyboru można by się spierać. Znacznie gorzej ma się sprawa z nowelami Konopnickiej. Obecne wznowienia obejmują zaledwie cząstkę i to może nie najlepszą, dobraną z punktu widzenia potrzeb chwili, tego, co winno być przywrócone literaturze. Dosłownie przywrócone, bo wobec braku zbiorowego wydania prozy Konopnickiej duża część jej utworów tkwi w czasopismach, lub w trudnych dziś do zdobycia wydaniach sprzed lat 50. Dokonanie więc wyboru i wszelkie nad nim dyskusje muszą być poprzedzone dokładną bibliografiią i ewentualnym wydaniem zbiorowym.

Nowele Konopnickiej w oczach dzisiejszego czytelnika nie są czymś tak bardzo stylowo dalekim od współczesności jak opowiadania Prusa. Ale właśnie na tle tych ostatnich uderzają swą odrębnością. Poważna większość nowel Konopnickiej, niezależnie od różnorodności metod kompozycji, opiera się na motywie **portretu jednostki upośledzonej, cierpiącej.** Takimi są: „Banasiowa", „Ksawery", „Józefowa", „Głupi Franek"... Czasem zamiast portretu pojawia się jakby „monografia nieszczęścia", jak to ma miejsce w „Naszej szkapie". Opinia Konopnickiej jako pisarki „społecznej" pod jednym względem jest nieuzasadniona. Oto jej nowele poza pewnymi wyjątkami, jak „Józik Srokacz", nie stawiają „problemów", nie wprowadzają momentu oceny i interpretacji, nie są konstruowane dla wypełnienia pewnego schematu. Często biorą za motyw zjawiska mało typowe, z kolekcjonerską pasją wnikają w osobliwe wypadki ludzkiej małości. Jaskrawo odbijają się od nieepickiej, konstruktywnej nowelistyki Prusa. Namiętność wczuwania się w psychiki wyjątkowe w swoim upośledzeniu, często anormalne pozwala Konopnickiej na ukazanie ich dziwaczności, na udostępnienie „egzotyki psychicznej". Banasiowa pragnąca śmierci, by nie musieć uiszczać opłat miejskich, czy sądowych, Maryśka, przechowująca z pietyzmem buty parobka, który ją porzucił, Józefowa spragniona męża, który by ją bił — uderzają swą osobliwością ciekawych szkiców „z natury", ale zdumiewają też niespodziewanym odsłanianiem ogólno-humanistycznego sensu. Dziwaczność uzyskuje czasem charakter groteskowego dysonansu, gdy autorka miesza motywy o krańcowo odmiennym zabarwieniu uczuciowym. Dzieci ze „Starej szkapy" biegnące ze śmiechem przed trumną matki. Urbanowa ciesząca się na łożu śmierci widokiem syna w jasełkowym stroju Heroda — to kreacje ogromnie ciekawe w swym przełamywaniu melodramatycznej szablonowości.

Pewne właściwości stylu Konopnickiej rozumieć można jako następstwo unikania autorskich interpretacji, jako usiłowania zbliżenia się do literackiego empiryzmu. Chodzi tu o różne formy „mowy pozornie zależnej" w toku prozy Konopnickiej. Zarówno lekka stylizacja gwarowa, przysłaniająca niejako autorkę jako podmiot narracji, jak wkomponowane w kontekst relacji autorskiej, przytaczanie treści psychologicznej lub słów bohatera, są metodami służącymi tym celom. — Wydaje się więc, że postawą socjalną Konopnickiej jest nietyle zanalizowanie pewnych faktów, pokazanie w uproszczeniu ich wewnętrznych zależności, co umożliwia daleko idące identyfikowanie się ze swym materiałem: postawa „rozumiejąco-wczuwająca", nieinterpretująca.

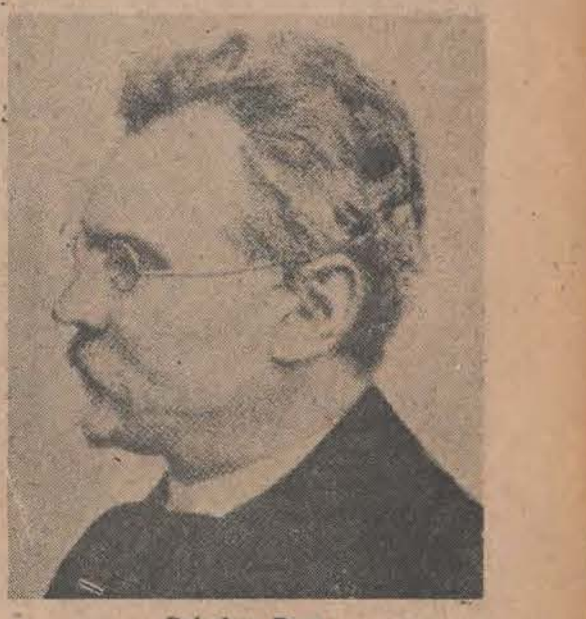
SIENKIEWICZ — W ŚWIECIE WARTOŚCI UZNANYCH

Nowe, racjonalne wydanie nowel Konopnickiej może zapewnić im odmienną od dawnej pozycję w świadomości konsumenta; reedycja opowiadań Prusa w kompletniejszym wyborze może również stać się czynnikiem formowania nowych opinii literackich. Znajomość natomiast nowelistyki Sienkiewicza tak jest rozpowszechniona, że nie tyle może jej wznowienia są ważne, ile próby rewizjonistycznej charakterystyki.

Opowiadania Sienkiewicza są przeważnie marginaliami jego twórczości powieściowej i działalności dziennikarsko korespondencyjnej. „Trylogii" towarzyszy „Niewola tatarska", „Quo vadis" — „Pójdźmy za nim", amerykańskiej korespondencji — kilka nowel z „Latarnikiem" na czele. Sienkiewicz najlepiej czuł się w świecie wartości bezsprzecznych, niepoddawanych dyskusji, poprostu z góry przyjętych. Pewne cechy stylu każą w nim widzieć znakomitego **realizatora tradycyjnych dla retoryki** postulatów **wzruszania** czytelnika oraz **„captationis benevolentiae" — pozyskiwania jego skłonności.** Retoryka dobra, jeśli chodzi o pochwały wartości tradycyjnie umownych, w zakresie tematów współczesnych wydać mogła tylko „Janka muzykanta" — utwór nibyto w stylu Konopnickiej, ale w rzeczywistości uproszczony, skonwencjonalizowany, pozbawiony owych dysonansowych efektów właściwych autorce „Naszej szkapy". Nowelistyka współczesna była w twórczości Sienkiewicza mało uprawianym, wcześnie zarzuconym, gatunkiem literackim. W opowiadaniach takich jak „Jamioł", „Organista z Ponikły" temat odgrywał rolę najwyraźniej podrzędną, były to próby budowania nowel „uniezwykłonych" o pointowych zakończeniach. Natomiast „Szkice węglem" i „Bartek zwycięzca" są tym, co nazwać by można „literaturą dla warstw wyższych o warstwach niższych" — odwróconą analogią słynnych powieści „z życia wyższych sfer towarzyskich". W utworach tego typu efekt zasadniczy polega na różnicy klasowej między bohaterem opowiadania a czytelnikiem. Odrębne momenty cywilizacyjne pokazane są w odpowiednio dobranych sytuacjach. Są one dla konsumenta źródłem pewnych zadowolonych z siebie uśmiechów. Znakomity realizator „zamówienia społecznego" jakim był Sienkiewicz umiał również i Bartka, czy Rzepę — symbole społecznych bolączek — przedstawić w świetle miłym dla oka mieszczańskiego czytelnika. Na miejsce sympatycznego „włościanina" z sielanki został postawiony drapiący się po głowie chłop z ówczesnej karykatury.

Na zakończenie raz jeszcze zaznaczyć warto, że uznając potrzebę obecnych wydań nowel pozytywistycznych, życzyć sobie należy wyborów obszerniejszych i przystosowanych dla odmiennych, dojrzalszych czytelników. Życzyć też sobie należy wzbogacenia trójki wydawanych pisarzy o Orzeszkową, Dygasińskiego, Sewera i innych nowelistów, których utworów naprózno szukałby czytelnik na półkach księgarskich, a nieraz i bibliotecznych.

***) Nakładem „Książki" („Mała Biblioteczka Książki") i Gebethnera (Bibl. Uniw. Lud.) wyszły (często w obu tych wydawnictwach) w latach 1946-7 następujące pozycje: Prusa — „Anielka", „Antek", „Cienie", „Grzechy dzieciństwa", „Kamizelka", „Michałko", „Pałac" i rudera", „Powracająca fala", „Przygody Stasia", „Sen", „Sieroca dola". Konopnickiej: „Dym", „Głupi Franek", „Martwa natura", „Mendel Gdański", „W Winiarskim forcie". Sienkiewicza: „Bartek zwycięzca", „Jamioł", „Janko muzykant", „Latarnik", „Organista z Ponikły", „Szkice węglem", „Wspomnienie z Maripozy", „Za chlebem", „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela". Orzeszkowej: „A.B.C."**



Bolesław Prus

Branko Ćopić

MALKONTENCI



Branko Ćopić

Branko Ćopić urodził się 1 stycznia 1915 r. we wsi Haszani pow. Bosańska Krupa. Ukończył Wydział Humanistyczny, sekcję pedagogiczno-filozoficzną Uniwersytetu Belgradzkiego. Obecnie zajmuje się pracą publicystyczną. Jest redaktorem czasopisma dla dzieci „Pionirski Glas". Działalność polityczno-społeczną rozpoczął w 1936 r. Od 1941 r. był wśród partyzantów zajmując się pracą literacką i dziennikarską. W latach od 1936 — 1940 specjalnie poświęcił się pisaniu nowel i opowiadań dla dzieci prozą („Planinci" — „Górale"), Pod Grmeczom", Borci i Bjegunci" („Bojownicy i uciekinierzy"), „U svetu leptirova i medveda" („W krainie motyli i niedźwiedzi"). Od 1941 r. pisze poezje, utwory prozą, zwłaszcza dla dzieci.

Wujo Mazalica, stary agitator, długo naradzał się z „politycznym mędrcem" swej partii, która ongiś całym krajem trzęsła. Trzeba było znów wyruszyć do miasta i werbować zwolenników.

Ów „mędrzec polityczny" roztaczał przed nim wspaniałe perspektywy i pouczał go:

— Widzisz, kraj jest w trudnej sytuacji gospodarczej,, a to wywołuje w narodzie apatię, przygnębienie i niezadowolenie; warto wykorzystać to dla celów naszej partii. Niezadowolenie to zamienimy na najlepszy nasz kapitał polityczny.

Przyjął mądrą naukę Wujo Mazalica, przysposobił się do drogi i jednego dnia zjawił się o świtaniu w małej mieścinie Bośniackiej Krainy i z miejsca udał się na jarmark szukać malkontentów. Od byłego zieleniarza, swego starego przyjaciela dowiedział się pomyślnych nowości:

— Naród jest, moiściewy, goły, bosy, głodny — nigdzie nie ma niczego, ledwie ludziska wiążą koniec z końcem. Powiedzcież mi, któż tu będzie zadowolony!

Snując pogodne, wielkie plany zaszedł na jarmark. A tu, wiadomo, mętlik i musowo krajskie pokrzykiwania, zwady i mędrkowanie. Mnóstwo bosonogich, obdartych chłopów dodało jeszcze odwagi Wujowi tak, że aż ręce z radości zacierał.

Wkrótce natknął się Wujo na pierwszego malkontenta. Był to niejaki Dziuran Bariłowac, ogromny wąsal, cały opalony i czarny. Rozkroczył na środku targowiska swe długie, bose nogi, wymachuje fajką i wymyśla na całe gardło:

— Otóż to, powiadają: nadeszły do spółdzielni kierpce, są kierpce, a gdym tam zaszedł, ten hultaj kierownik już we drzwiach mnie przywitał: „Nie ma, powiada, Dziuranie, dla ciebie kierpcy, żebyś wcześniej przyszedł jeszcze by się coś znalazło"... A ty teraz, Dziuranie, czekaj na zimę jak umiesz.

Jeszcze nie umilkł Dziuran, a tu ktoś pyta:

— A byłeś w radzie powiatowej: cóż ci tam powiedzieli, czy prędko nadejdzie cokolwiek nowego towaru?

— Ech, rada powiatowa — zaczął krzyczeć Dziuran — co za rada powiatowa. Ledwie zeszli do miasta, a i oni mają się z pańska. Wchodzę ci ja do nich, a jeden zwraca się do mnie: „Proszę cię towarzyszu, bądź tak dobry i siądź, zaczekaj chwilkę"... Proszę ja ciebie! Przecie nie nawykłem, żeby do mnie mówiono „proszę cię" i cackano się ze mną niby z jakimś paniczykiem. Mógł moiściewy, pięknie powiedzieć: „Alež zaczekaj — no trochę Dziuranie, cóż to tak się rzucasz jak wół na sól. Spluń i siadaj!" Niech by tak powiedział, żeby znać było, że to tak — od serca.

— A no, no, po prawdzie mówisz — podchwycił jeszcze jeden malkontent. — A mnie zaś wczoraj jeden z komisji powiada „panie". Moiściewy, co za pan ze mnie.

Podczas gdy malkontenci tak dalej wymyślali na każdego, kto się nawinął pod rękę, nie szczędząc nawet milicjanta Jowana, który, gadzina jedna, odkąd jest w mieście „co dzień się goli" niby lis ostrożnie wślizgnął się Wujo pomiędzy nich i sam wdał się w rozmowę. Po półgodzinie siedząc już z Dziuranem sam na sam „urabiał go".

— Co słyszę, nie ma naród ani nafty?

— Jakiej nafty, moiściewy! — woła Dziuran. — Już trzy lata nie ma ani na lekarstwo.

— A i sól pono trudno zdobyć? — znów wypytuje się Wujo.

— Ech, moiściewy, życiem, życiem przypłacisz, zanim wyskamlesz w spółdzielni kilo, dwa dla bydlątek.

— A o przyodziewek to pewnikiem nie ma co i pytać? — chciwie dowiadywał się Wujo.

— Jakie tam odzienie, co też ty gadasz! — krzyknął Dziuran. Jeszcze trochę, a zaczniemy skakać goli niby koźlęta.

— Ciężko, doprawdy, całkiem niewesoło — wzdycha zafrasowany Wujo.

— Wiadomo, że niewesoło, kto powiada, że jest dobrze — utyskuje gniewnie Dziuran.

Wujowi się zdało, że nadeszła odpowiednia chwila, by rozmowę skierować na politykę. Toteż nachmurzywszy się jeszcze bardziej i niby zmartwiony ciągnął:

— No tak, moiściewy, dość mamy tego po uszy. I idźże tu z nimi, głosujże, jeśli masz za co.

— Wiadomo, że będę głosować — odpalił Dziuran ciągle jeszcze rozsierdzony.

— Więc dobrze, jeżeli trza głosować, bo boi się człek wstrzymywać, to przynajmniej niech baczy na kogo da swój głos — zaczął manewrować sprytny Wujo mając na myśli „ślepą urnę" *).

— Wiadomo, że będę baczyć — uparcie mruczał Dziuran. — Pewnikiem, że nie dam swego głosu na te tam gadziny.

— Tak — to, tak! — ucieszył się Wujo. — Przecie nie dasz swego głosu, ma się rozumieć, na tego, co cię zostawił gołym i bosym.

— Wiadomo, że nie — zasępił się Dziuran — pewnikiem, że nie spadłem z gruszy. Wiadomo, głosować będę na swoją władzę ludową.

— Na jaką władzę? — podejrzliwie Wujo zapytał.

— Na jaką? Wiadomo, moiściewy, na jaką! Na naszą — partyzancką — niechętnie mu przerwał Dziuran.

Wujo osłupiał ze zdziwienia.

— Ależ, jak to, bracie, ja ciebie nijak nie rozumiem? Więc czyżbyś miał zaufanie do tych... tych tu teraz?

— A do kogóż innego będę miał, jeśli nie do nich? — Przecie na taki porządek czekałem odkąd sięgam pamięcią.

Oj, bracie! — Jeszcze więcej się zmieszał Wujo. — Przecie przed chwilą i sam rzekłeś, że od nich prawie niczego nie możesz dostać?

— A skądżeż mam dostać! — rozgniewał się na dobre Dziuran. — Sam przecie widzisz, że niczego nie mamy, ograbieni jesteśmy, spaleni, zbiednieli. Grzech byłby żądać czegoś od nas.

— Ależ, od kogóż to — od nas? Pewnikiem chciałeś rzec od nich? — jęknął rozpacznie Wujo.

— Nie,, moiściewy, ino od nas, od państwa. Przecie nie będę żądał od nich, Bóg z tobą!

— Oj, ludzie, ludzie! — gorąco zrobiło się Wujowi. — A któż to znów ci oni?

— Kto? Wiadomo kto — obruszył się Dziuran — stary rząd, król i cała ta dawna zgraja.

— E, ciebie to by i sam Bóg nie pojął! — gniewnie mruknął Wujo. — Przecie jeszcze przed chwilą psioczyłeś na tę dzisiejszą władzę?

— Jeśli psioczyłem, to na swoją władzę. Ja wojowałem o władzę, na którą mógłbym wymyślać, gdyby mi się coś nie spodobało.

— Wymyślałeś i na tych w radzie powiatowej, i w spółdzielni i w...

— Ech, ech — przekornie zamruczał Dziuran — psioczyłem, psioczyłem. A jakżeż by się oni poprawili, kiej bym na nich nie wymyślał i na ten przykład krzynę nie krytykował? Zabruździliby ludziska.. A tak: my poprawimy krzynę z tej strony, a wiadomo i towarzysz Tito powie niekiedy coś niecoś z tamtej strony i wszystko jakoś przychodzi na swoje miejsce... Tak to, moiściewy.

Wujowi zrobiło się ciemno przed oczyma, więc ino fuknął:

— A jak to było z tym: „Proszę cię", co? A co ty na to?

— Bogiem a prawdą — nic, co mam powiedzieć. Wypada, żeby i mnie raz honornie przyjęto. Czekajno, przyzwyczai się Dziuran i do tego.

— A kierpce? Jak to było: „Nie ma dla ciebie, Dziuranie, kierpców?"

— Ech, też mi z ciebie zrzęda — skarcił go Dziuran. — Przecie nie mieli ludziska numeru na moją nogę. Stopy mi się rozszerzyły i spłaszczyły od chodzenia boso, tak że trza mi kierpiec półmetrowy, a znajdźże mi ty teraz takie kierpczysko. Dlatego też ta zmyślna sztuka już we drzwiach mnie wita przekpinkami: „Nie ma, powiada, Dziuranie, ani dziś"... Ot co.

— E, ludzie moiściewy, ja już nie rozumiem tego narodu! — beznadziejnie zawołał Wujo Mazalica, pociemniało mu przed oczyma i osunął się na najbliższy kamień.

— Widzę ci ja, że nie rozumiesz, mój głuptaku! — mruknął Dziuran i zniknął gdzieś w tłumie, a już po chwili słychać było jak głośno wymyśla swoim wiejskim rajcom:

— Patrzcie ich, Chryste Panie, ino rozporządzenia wydają: to tak, a tamto — owak. Niechta oni wpierw sami pokażą, a wtedy i ja sam bez niczyjego rozkazu zrobię jak potrza.

— A no tak, tak, po prawdzie gadasz! — rozległy się donośne głosy malkontentów, które w mózgownicy Wuja Mazalicy bębniły nieprzyjemnie niby uderzenia prętem po trumnie.

Tłum. z oryginału
Halina Kalita-Cirlić

*) W czasie wyborów bowiem do Parlamentu Ustawodawczego w Jugosławii poza urną Frontu Narodowego i Stronnictwa Republikańskiego znajdowała się i trzecia urna, dowcipnie nazwana przez ludność „ślepą", gdyż wskutek bojkotowania wyborów przez opozycję urna ta pozostała bez listy.



Andrejewicz — Kuna z cyklu „Partyzanci"



Ismet Mujezinović z cyklu „Najmłodsi w walce o Jugosławię"

J. Liumin

OBRONA KAPITALIZMU*)

W dzisiejszej dobie, kiedy to występują objawy starczej niemocy kapitalizmu i tak jaskrawo uzewnętrzniają się zalety socjalistycznego ustroju, nawet żarliwi obrońcy burżuazji niejednokrotnie wolą występować pod maską negowania kapitalizmu a uznania dla ustroju socjalistycznego. Charakterystyczną próbką tego rodzaju literatury może być książka Schumpetera p.t. „Kapitalizm, socjalizm i demokracja" **) wydana w r. 1942 i ostatnio poraz drugi. Autor należy do najwybitniejszych ekonomistów świata kapitalistycznego. Rozpoczął swoją działalność w Austrii, a obecnie od kilkunastu już lat pracuje w USA. Już pierwsze wydanie wyżej wspomnianej książki, jakkolwiek ukazała się ona w najcięższym okresie drugiej wojny światowej, wywołało wiele oddźwięków w literaturze światowej. Nic w tem dziwnego, książka jest wypadkową — według słów samego autora — czterdziestoletnich badań i rozważań dotyczących najbardziej żywotnych problemów współczesności.

Schumpeter stawia trzy kardynalne pytania:

1. **Czy kapitalizm może przeżyć okres próby?**
2. **Czy socjalizm może funkcjonować?**
3. **Czy socjalizm może się pogodzić z demokracją?**

Na pierwsze pytanie daje odpowiedź przeczącą; na drugie i trzecie odpowiada pozytywnie.

Jednakże sankcjonowanie socjalizmu w książce Schumpetera ma charakter swoisty. Jest to zgrabny chwyt, kryjący w sobie faktycznie twierdzenie wręcz odwrotne. W odróżnieniu od licznych współczesnych burżuazyjnych ekonomistów, Schumpeter bierze pod uwagę niezwykłą popularność idei socjalizmu. W przedmowie do pierwszego wydania swej książki mówi, że idea o nieuniknionym zapanowaniu socjalistycznego społeczeństwa szybko staje się ogólnym przekonaniem nawet wśród konserwatystów (str. XIII—XIV). Schumpeter postanawia oświetlić ten problem „od nowa". Sens jego badań polega na tym ażeby unieszkodliwić ruch socjalistyczny, izolując problem **„kapitalizm — socjalizm" od problemów walki klasowej.** Taką okólną drogę uważa za bardziej skuteczną, aniżeli walkę wręcz.

Chociaż Schumpeter niejednokrotnie nazywa siebie marksistą, w pierwszej chwili uważa za stosowne „porachować się" z Marksem. Krytyka jego pozbawiona jest błysku oryginalności: powtarza on już przedyskutowane argumenty przeciwników Marksa. Za przykład może tu służyć jego twierdzenie, jakoby filozofii Marksa nie można nazwać materialistyczną i, że teoria wartości Marksa pokrywała się z teorią wartości Ricarda.

Przejście od kapitalizmu do socjalizmu wyobraża sobie Schumpeter jako proces **automatyczny,** który rozwija się narówni z procesami biologicznymi, niezależnie od walki klasowej. Kategorycznie odrzuca on związek tego procesu z coraz to mnożącymi się ekonomicznymi sprzecznościami kapitalizmu. Przeciwnie, Schumpeter widzi podstawę „rozkładu kapitalizmu" we wzroście jego ekonomicznego powodzenia, jego potęgi i bogactwa. Ze zręcznością kuglarza wreszcie ogłasza, że jest to najzupełniej obojętne czemu przypisać upadek kapitalizmu, jego powodzeniom czy klęskom.

Ta nowa i więcej niż oryginalna teoria nastawiona jest na cel stary jak świat i z oryginalnością nie mający nic wspólnego: — wyprowadzić kapitalizm z ognia socjalistycznej krytyki, zaciemnić wzrastanie jego sprzeczności, wywołujące burzliwe niezadowolenie mas. Powtarzając oklepane argumenty reakcyjnych ekonomistów Schumpeter zaprzecza istnieniu zjawisk zubożenia klasy pracującej. Wbrew faktom oczywistym i oświadczeniom wielu burżuazyjnych ekonomistów zaprzecza on, że wzrost bezrobocia w okresie między obu światowymi wojnami miał swoje źródło w samym mechaniźmie kapitalistycznego ustroju. Wiadomo, że podstawę mnożenia się sprzeczności w epoce imperializmu stanowi wzmagające się panowanie monopoli które Schumpeter stara się ze wszechmiar wybielić i rolę ich zredukować do minimum. Idąc drogą negowania samych bezsprzecznych faktów, stwierdza, że jakoby w zaraniu kapitalizmu rola monopoli była bardziej jawną, niż w chwili obecnej. W celu usprawiedliwienia monopoli Schumpeter proponuje rozpatrywanie zjawisk ekonomicznych na dalszy dystans. Wówczas to, co w danym momencie występuje jako sztuczne ograniczenie produkcji i wyśrubowanie cen otrzymuje całkiem inny sens. Wówczas, twierdzi on, wyśrubowanie cen można uważać za asekurację w swoim rodzaju od możliwego spadku na przyszłość a ograniczenia produkcji — jako mądrą politykę karteli, kuszących się już wcześniej osłabić w każdym razie przewidywane kryzysowe zmniejszenie produkcji.

W ten sposób rozpatrywane zjawisko może sobą przykryć każde wykroczenie finansowych magnatów. Schumpeter widzi w zahamowaniu np. zastosowania nowych metod produkcji jedynie metodę racjonalnej gospodarki. Pozostaje jeszcze wyciągnąć wniosek, że przy rozpatrywaniu zjawisk z oddalonej perspektywy czysty monopol faktycznie zmienia się w zjawisko niezmiernie rzadkie i w ogóle zanikają wówczas wszelkie różnice między rezultatami monopolów i konkurencji. Schumpeter i z tym się załatwił, w sposób sobie właściwy. Argumentacja jego opiera się na prostym sofizmacie: o ile monopol nie wypiera konkurencji to praktycznie nic się nie zmienia z chwilą zwiększenia się liczby monopoli. Schumpeter przyciemnia fakt, że **konkurencja sama przez się zdobywa nowe cechy w warunkach monopolistycznego kapitalizmu i że służy jako ośrodek zahamowania masy drobnych i średnich przedsiębiorstw i że pozwala garstce monopolistów przyswajać sobie cały przyrost dochodu społecznego.** Pomysły Schumpetera pozostają w sprzeczności z rzeczywistością. Wystarczy np. wskazać chociażby ten fakt, że kierowniczym monopolom udaje się zapewnić wysoki poziom cen, nie zważając na duży wzrost wydajności pracy w odnośnych branżach przemysłu.

Lecz gdy kapitalistyczny mechanizm pracuje nieprzerwanie, jeśli niema objawów zdradzających pogorszenie jego pracy, to jakież są podstawy by mówić o „rozkładaniu się" kapitalizmu? Schumpeter i tu wysuwa „oryginalne" ujęcie w związku z jego teorią zysku i procentu przedsiębiorcy. Sens tej teorii polega na apoteozie kapitalistycznego przedsiębiorcy jako motorycznej siły ekonomicznego rozwoju, na **utożsamieniu przedsiębiorcy z nowatorem,** łamiącym ustalone tradycje, przeprowadzającym nowe tezy w dziedzinie zastosowania bardziej wydoskonalonych metod technicznych, tworzenia nowych produkcji, zdobywania nowych rynków, zmiany organizacyjnych form przedsiębiorstw i t.d. W metodach Schumpetera zysk i procent przedsiebiorcy, to jest cały dochód nie z własnej pracy klasy kapitalistycznej, występuje jako swoista forma dochodu **zbędnego,** otrzymywanego przez kapitalistów — nowatorów, którzy wydają na produkcję mniej niż to jest nieodzowne z punktu widzenia społecznego. Przy tym Schumpeter naumyślnie pomija jedną „drobnostkę" a mianowicie: podobno zbędny dochód ma po pierwsze, charakter tymczasowy, (dopóki inni przedsiębiorcy nie wprowadzą nowych metod) a po drugie, otrzymują go tylko jedynie niektórzy przedsiębiorcy, (a mianowicie — ci w pierwszym rzędzie, którzy stosują nowe metody produkcji). Sam fakt istnienia takiego zbędnego dochodu przewiduje, że pozostała liczba przedsiębiorców stosuje stare metody produkcji. Jakże może ten zbędny zysk, stanowiący nadbudowę średniego zysku, zamienić się w dochód całej kapitalistycznej klasy społecznej? Sekret tej cudownej zamiany części w całość wiadomy jest tylko Schumpeterowi, któremu chodzi tylko o jedno: dokonać przemiany osoby kapitalistycznego działacza — eksploatatora w bohatera, chorążego ekonomicznego postępu.

Jednakże nawet trubadur kapitalistycznego przedsiębiorstwa musi przyznać, że „epoka bohaterska" kapitalizmu dawno minęła bezpowrotnie. W dzisiejszej dobie techniczny postęp jest wypadkową ogromnych naukowo badawczych osiągnięć, wynalazczej działalności, w znacznym stopniu zestandaryzowania; wynalazca przestał być „wybrańcem losu". Zamiast przedsiębiorcy indywidualnie rozstrzygającego wszystkie sprawy swego przedsiębiorstwa jest teraz liczna biurokracja akcyjnych towarzystw. W tym właśnie procesie zakończonym osobowością kierownictwa kapitalistycznego — przedsiębiorstwem, w mechanizacji, standaryzacji samego procesu, w zatraceniu poprzedniego romantyzmu nowatorów postępu Schumpeter widzi podstawę „rozkładu" kapitalizmu. Przychodzi on do karkołomnego wniosku, że kapitalistyczny zysk stracił swoją podstawę, że dochody kierowników akcyjnych towarzystw mogą być zaliczone do rubryki zapracowanej zapłaty wysoko wynagradzanych pracowników. Otrzymuje się autentyczne, cudowne zjawisko: zysk kapitalistycznych magnatów, którego niebywały wzrost potwierdza się nawet w drodze oficjalnych sprawozdań zwłaszcza w ojczyźnie współczesnego kapitalizmu — w USA., zupełnie niespostrzeżenie „wyparowuje". A ponieważ kapitalizm bez zysku jest nie do pomyślenia, to z powyższego wynika, że sam kapitalizm jako taki również automatycznie „wyparowuje".

Tym magicznym procesem „parowania" odpowiada, wymyślone przez Schumpetera, równie cudowne „wyparowywanie substancji własności". Schumpeter ma tu na myśli pozbawianie **osobowości** w akcyjnych towarzystwach własności, wiecznie potęgujący się rozdźwięk pomiędzy kapitałem — własnością a kapitałem — czynnością, (działalnością). W rezultacie „biednej" burżuazji, spod której nóg wyślizguje się grunt stopniowo, pozostaje tylko dostosować się do nowego niejako „niekapitalistycznego" porządku rzeczy.

Schumpeter robi tu nieoczekiwane odkrycie, że **burżuazja uświadamia sobie ten fakt.** Traci, jak twierdzi on, przywiązanie do swojej wiary i coraz to obojętniej gotowa bronić swoich pozycji. Z rozczuleniem mówi Schumpeter o „potulności" burżuazji, wreszcie dochodzi do wstrząsającego wniosku, że drogę do socjalizmu torują Vanderbildy, Carnegie i Rockefellery.

Tak cicho i płynnie, bez burz i wstrząsów odbywa się na stronicach jego książki proces „transformacji" kapitalizmu i socjalizmu. Gdy ten proces zajdzie dość daleko, pozostanie jedynie utrwalić nowy porządek rzeczy na drodze prawodawczej. Wówczas, w/g zapewnień autora, „ostatni krok będzie już li tylko formalnością".

Schumpeter uspakaja „potulną" burżuazję zapewniając, że taki proces „może potrwać stulecia". Z czego wynika, że kapitaliści nie mają się czego obawiać. Zresztą socjalizm u niego przedstawia sobą pewną swoistą formę, swoistą odmianę kapitalizmu. W tym socjalistycznym gospodarstwie zachowane są ważniejsze organizacje finansowego kapitału jak koncerny, towarzystwa inwestycyjne i t.d. Rodzi się tylko konkurencyjna walka między tymi organizacjami. Wyłączają się jedynie drobni „outsiders" (osoby wchodzące w skład instytucji) i przedsiębiorstwa indywidualne, niezorganizowane towarzystwa akcyjne. W praktyce oznacza to, że potęga finansowego kapitału osiągnie swój szczytowy punkt rozwoju.

Ażeby nadać socjalistyczny posmak temu „transformowaniu" kapitalizmu, Schumpeter transformuje samo pojęcie socjalizmu. Określa on socjalizm jako ustrój, przy którym kontrola nad środkami produkcji i produkcja ześrodkowuje się w ręku **władzy centralnej** lub też, przy którym ekonomiczne sprawy społeczne należą **do publicznej** a nie prywatnej kompetencji. Przy czym centralna władza, wykonująca kontrolę nad produkcją może mieć najrozmaitszą klasową formę. W tym celu, aby uniknąć wszelkich wątpliwości w interpretacji tego problemu, Schumpeter wysuwa tezę o pełnej „kulturalnej nieokreśloności socjalizmu". W istocie rzeczy, jemu należałoby mówić o pełnej nieokreśloności jego „socjalizmu" we wszystkich dziedzinach włącznie do politycznej i ekonomicznej. „Społeczeństwo — mówi on — może być socjalistyczne i być rządzone przez władcę absolutnego lub też może być zorganizowane na modłę najbardziej demokratyczną. Może być ono arystokratyczne i proletariackie, teokratyczne i hierarchiczne; ateistyczne i indyferentne w stosunku do religii; energiczne albo bezwolne, wojownicze i nacjonalistyczne, albo pokojowe i międzynarodowe, może mieć etykę lordów albo etykę niewolników i t.d.".

W tej mglistej nieokreśloności socjalistycznego społeczeństwa Schumpetera „transformowany" według niego kapitalizm może również uchodzić za socjalistyczny typ organizacji.

Rzecz oczywista że „transformacja" kapitalizmu nawet w najmniejszym stopniu nie odpowiada rzeczywistości. Rozwojowy proces akcyjnej działalności stwarza iluzję pozbawienia kapitału cech osobowości, utraty przez właścicieli przedsiębiorstw kierowniczego wpływu, przejścia zarządu przedsiębiorstw do rąk najemnej administracji. Lecz oczywiście jest to tylko iluzja, oparta na połączeniu faktycznie bezosobowej i pozbawionej wpływu masy drobnych akcjonariuszy z faktycznymi gospodarzami akcyjnych towarzystw, które często pozostają w cieniu, działając przez wszelkiego rodzaju podstawione osoby trzecie. Rozwój akcyjnej działalności — „system udziałów" — mnożenie się wszelkich form kredytowych związków i t.d. wszystko to potęguje w znacznej mierze panowanie dużego kapitału nad cudzym kapitałem i cudzą własnością. Powstają dynastie finansowych magnatów, które uciemiężają całe kraje. Wystarczy wspomnieć znane fakty o panowaniu „60 rodzin" w USA, „200 rodzin we Francji", aby zadać kłam teorii Schumpetera o automatycznym zamieraniu kapitalistycznego przedsiębiorcy.

Jaki praktyczny program planuje Schumpeter na najbliższy okres? W ostatnim rozdziale swej książki, napisanym do nowego wydania, próbuje on pokrótce zanalizować sytuację, która się zarysowała po zakończeniu drugiej wojny światowej. Stawia pytanie: czy nie może wzrost produkcji, który miał miejsce w USA w czasie wojny, jeżeli będzie on iść dalej, po tej linii, doprowadzić do zlikwidowania problemu socjalizmu dla tego kraju przynajmniej na najbliższy okres lat 50—100? Na to pytanie daje odpowiedź przeczącą, przewidując trudności, które powstrzymują wzrost produkcji w USA.

Na czym będą polegać owe trudności? Bardzo charakterystyczne, że autor nie wylicza tu ani nieuniknionych, ekonomicznych kryzysów, ani nie mówi o przeciwdziałaniu wzrostu produkcji w stosunku do ograniczonego zapotrzebowania. Milczy i o wzrastającej anarchii kapitalistycznej ekonomiki. Schumpeter woli wysunąć problemy tak chętnie cytowane przez reakcyjne czynniki w Ameryce. A więc uskarża się na biurokratyczne reformy regulowania przez państwo tych spraw, co ma miejsce po zakończeniu, właśnie drugiej wojny. Atakuje szczególniej kontrolę cen (rozdział napisany w r. 1946).

Jak wiadomo Truman wpłynął na jej zniesienie pod naciskiem Wall Street. Wiadomo również, że pociągnęło to za sobą wzrost cen i zaostrzenie ekonomicznych sprzeczności w USA. Schumpter uskarża się również na politykę podatkową, która nie podnieca zbytnio kapitalistów, będąc dla nich zbytnio obciążającą.

Wyliczając czynniki, które hamują i mogą hamować wzrost produkcji na pierwszym miejscu u Schumpetera figurują **ruchy robotnicze, strajki.** Zaleca on, aby zasiłki dla bezrobotnych nie przewyższały płacy robotników, inaczej będzie to wpływać na sztuczny wzrost bezrobocia w USA, gdzie 50% robotników stale czeka na zasiłki. Idąc za tradycją obrońców imperializmu Schumpeter stara się usilnie udowodnić pokojowe nastawienie burżuazji, jej odrazę do wojny. Starając się uzasadnić powyższe twierdzenie dowodzi, że im bardziej rozwinięta jest kapitalistyczna struktura jakiegoś narodu, tym bardziej naród ten nie znosi wojny. Czy tylko wykazuje kompletny dyletantyzm, utrzymując, że wielkie przedsiębiorstwa w historii w ogóle nie miały żadnego wpływu na politykę? Jako przykład cytuje współczesnych działaczy z Wall Street. Trudno wymyśleć bardziej obłudną argumentację. Amerykańscy finansiści dziś najwyraźniej występują w roli podżegaczy do wojny. Aby podkreślić swoje prowokacyjne twierdzenia pod adresem Związku Radzieckiego powołuje się na Churchilla.

Lenin pisał przed laty:

„Jeszcze Niekrasow i Sałtykow uczyli rosyjskie społeczeństwo rozróżniać pod złagodzoną i napomadowaną formą zewnętrzną wykształcenia dziedzica z okresu pańszczyzny, jego żarłoczne interesy".

O tych słowach myśli się przy czytaniu książki Schumpetera. Autor przywdziewa maskę obiektywizmu, odgradza się od wulgarnych krytyków socjalizmu i przyznaje, że gospodarka socjalistyczna może być prowadzona racjonalnie, że socjalistyczna ekonomika posiada cały szereg prerogatyw w stosunku do kapitalistycznej. Robi wrażenie, że gotów jest zaakceptować wszystkie pozytywne dane, jakie się tylko znajdują w literaturze socjalistycznej. Lecz jego obiektywizm jest **jedynie maską.**

Pod przygładzoną i napomadowaną formą zewnętrzną wykształcenia ukrywa się obrona żarłocznych interesów kapitalistów.

---

*) („Nowoje Wremia", nr. 52, grudzień 1947).

**) Józefa A. Schumpetera ocenia się na naszych Wyższych Uczelniach jako ekonomistę amerykańskiego, zbliżonego do marksizmu, a więc zgodnie z tym, co na swój temat utrzymuje autor „Kapitalizmu, socjalizmu i demokracji".

Zamieszczona powyżej recenzja, dokonana przez marksistowskiego ekonomistę, ukazująca prawdziwe oblicze Schumpetera — obrońcy kapitalizmu, powinna przyczynić się do usunięcia nieporozumienia.

Bronisław Mazur

R A N E K

**Znagła
zatupały drogi odnowa
— to dudnienie jakby wydymało nieba żagle
i w horyzont szaro-biały niosło
krowy.**

**Dzwonek szkolny
obudził
zaspane w kudłach psa muchy,
i nagle pola
z brzękiem jęły pęcznieć pod obłok —
pies czmychnął przez płot
lecz zamilkł —
bo łyskając zakazanymi łydkami
szły znane dziewuchy.**

**Opodal zaś kowal
od gwiazd zgrubiały
czerwoną blachę
z rozgorzałych sosen
wyciągał —**

**a wtedy
różowy, młody dzień
wysunął pierś zdrową
i z wezbranych sił
przez wyłom horyzontu
rzucił się —
w nowe!**

M Ł O D Z I

Lech Budrecki

W impasie



Kiedy po przeczytaniu kilku pierwszych stron debiutu Adama Włodka nawet mało wytrawny czytelnik sięgał po „Miejsce na ziemi" był już w tym geście zawarty osąd. Zawsze mówiono mi o „Najcichszym sztandarze", że to nie rewelacja. Słusznie, nie należy jednak doszukiwać się w takiej ocenie ujemnego sensu. To iż dany tomik nie zawiera nowych sformułowań poetyckich, nie upoważnia nas do lekceważenia go. Trudno oczekiwać rewelacji co rok. A zresztą ostatnio staliśmy się już tak wyczuleni, że odkładamy prawie każdą książkę mówiąc: „Znane, znane. Nie powtarzajcie raz jeszcze". W tych słowach można odnaleźć najpoważniejsze i najpopularniejsze dzisiaj kryterium wartościowania: nowatorstwo. Nauczycielka szkoły powszechnej i młody poeta awangardowy solidaryzowali się w tym właśnie miejscu. Wyznawali napewno inne systemy estetyczne (każdy człowiek wyznaje jakiś), ale i on nad tomem Przybosia i ona nad Mickiewiczem wołali: „Jakie to świeże, nowe". Pamiętam jak jeden z moich znajomych, zapytany o jakąś powieść, machnął ręką. „Mało oryginalne" powiedział. To mu wystarczyło. Załatwił książkę. Gdybym przyjął taką formę hierarchizowania (trzeba przyznać, uroczą w swej prostocie) sprawa przedstawiałaby się najzupełniej jasno. Nakleiłbym na tomik Włodka opaskę z napisem: awangarda, umieszczając u dołu niewielką etykietkę: „epigon Przybosia". Niestety wyższe względy, nie będę tu ich z braku miejsca wykładał (są bardzo nudne, zapewniam) kazały mi obrać inną metodę krytyczną, znacznie bardziej zawiłą. Zacznę jednak od żmudnego zazwyczaj procesu wyznaczenia miejsca młodego debiutanta w nutach literackich naszego czasu. Wydaje mi się bowiem, że rozpatrywanie „Najcichszego sztandaru" jako „jedynego i niepowtarzalnego fenomenu" jest co najmniej bzdurne.

Gdybym zastanawiał się nad głównymi cechami poezji Włodka, za element dominujący uznałbym zjawisko u nas już nagminne: rozbicie wiersza. To dziwaczny i niewyraźny termin. Postaram się go jednak objaśnić. Poemat zostaje sprowadzony do zespołu niezależnych zdań, czasem zwrotek. Każde zdanie można usunąć, zastąpić innym. Ba, udałoby się nawet wykreślić resztę wiersza, zostawiając tylko jeden passus. Można rozsypać wszystkie zdania i utworzyć z każdego z nich odrębny poemat. One są przecież autonomiczne i przez przypadek jedynie sąsiadują ze sobą. Odbiera się wrażenie, że poeta powypisywał na poszczególnych kartkach zdania, wrzucił je do kapelusza i zawiązawszy oczy po kolei wyciągał. Dadaiści wycinali słowa z gazet, kojarząc je najzupełniej dowolnie, poeci t. zw. awangardy (Włodek służy tu tylko jako przykład powszechnie stosowanej metody) postępowali podobnie. Układali zdania obok siebie bez jakichkolwiek racjonalnych rygorów. Poezja bowiem nie tkwiła w wierszu, lecz w poszczególnym zdaniu.

Trudno nazywać praktykę tego rodzaju nowatorstwem. Rośnie jej przecież już siwa broda. Opiera się ona o tradycję nie wielowiekową wprawdzie, ale już pokaźną. Droga biegnie wprost od „Iluminacji".

Nad wierszami Włodka stoi Przyboś. To autor „Póki my żyjemy", jako jeden z pierwszych w Polsce wprowadził ekstrakt poetycki zdania, mogącego być osobnym poematem.

> Daj głowę lokami lekką:
>
> od wierzchołka do podnóża górę całą
> Obłok
> daleko,
> jakby wzroku przyczyniał
> od wierzchołka do podnóża górę całą
> przenosi.
> Tak wierzysz: wiatrak przeżywał cię
> i urzekł.
> Odczyniam wzdłuż nóg twoje ciało."

A co stało u podstaw takich wierszy Przybosia? Wielki wynalazek secesyjnych estetyk, niezależny język poetycki, nie różniący się jak dotąd bywało, od prozy przestawionym porządkiem wyrazów lecz metaforą. I to odległą. — Ona gwarantowała różnicę pomiędzy każdą linijką liryki i powieści. Przypomnijmy sobie podstawy takiej poetyki. Poezja jako mowa specjalna, „mowa nieziemska, mowa ducha" — powiedzieliby ludzie z Georgekreis. Zmierzch pozytywizmu, przejście mieszczaństwa w nowy okres gospodarczy (imperializm) i związana z tym dominanta wpływów idealistycznych estetyków: tak wyglądałoby w ogromnym uproszczeniu tło eksperymentów t. zw. awangardy, które niedawno jeszcze powtarzać chciał Włodek. A teraz zobaczmy, dokąd wiodło stałe używanie dalekiej i nowej (nie stosowanej jeszcze) metafory. Przeczytajmy wiersz:

> Związać w bukiet
> pachnącą ciszę kwiatów...
> — nie! —
> dłońmi w których pierś twoja wciąż
> zakwita
> nie podetnę radości gdy żyje.
> Tyś mnie patrzeć na zieleń uczyła...
> Weź tylko
> świeżość rosnących tobą słów.

Cośmy zdążyli zauważyć? Na jaki rodzaj porównań natrafiliśmy? Jaki typ metafory gwarantuje poetyckość tomiku Włodka? Zginęło słówko „jak", którego tak rozpaczliwie się trzymali dotychczasowi poeci. Straciło swoją przydatność. A przedmioty porównywane do siebie mają już tylko bardzo dalekie podobieństwa. Użyto skrótów. „ Granat ugodził odłamkiem odwiecznego snu".

Odłamak sprowadzał śmierć, teraz zaś do niej przynależy. Nastąpiło zatarcie odrębności przedmiotów. Zamiast porównania zastosowano równanie. Małe słówko „jak" broniło wiedzy o świecie, zapewniało czytelnika, że metafora to wyłącznie sprawa wyobraźni. Zniesiono je. I oto zewsząd rozpoczęła się fantastyka. Wizje poetyckie deformowały kształt rzeczy, ich wzajemny stosunek, ich położenie. A dziś czytamy wiersze Włodka, takie właśnie jak cały nurt polskiej awangardy; pozornie eksperymentatorskie, pozornie rygorystyczne, dokument dawnych prób, których już na szczęście większość młodych się wyrzeka. Idąc ślepym zaułkiem, trafia się w końcu na mur. Wtedy trzeba stanąć. Może dlatego niektórzy rzucali literaturę, niektórzy sprowadzali poemat do kilku linijek aforyzmu, a niektórzy powtarzali swe wysiłki sprzed lat.

Anna Kamieńska

Świat ze słów *)

Debiutowi Jerzego Laua patronuje Julian Przyboś. Recenzent dziś powtarza podobne stwierdzenie niechętnie; truizm o dydaktycznej roli wynalazków poetyckich Przybosia dla młodych poetów, a jednocześnie doświadczenie mówiące o jałowości powtarzania Przybosia, wzorowania się na jego technice.

Przymykając oczy na „szkolny" charakter wierszy zawartych w debiutanckim tomiku Laua „U płomienia" przejdźmy do opisu tego poetyckiego zjawiska.

Poezja tego typu, jaki reprezentuje Lau opiera się na przekonaniu o wszechmocy poety, który ze słów — dźwięków, z metafor i konstrukcji słownych tworzy świat własny, autonomiczny. Jak i z czego jest zrobiony ten świat, jaka jest jego rola — oto piętrowa metafizyka poezji będąca dla poety awangardowego problemem bardzo ważnym i realnym, często obsesją tematyczną. Przyboś poświęca mu szereg może najlepszych swych wierszy np. „Ciężar poematu" w tomie „Widzę". „Wiosna 1939 r.", „Na polach wielkich", „Jesień 42" w zbiorze „Póki my żyjemy". I wierszom Lauda nie obcy to problem:

> „W czapce z zielonych liści czekam,
> aż mowa będzie bólem
> a usta powiedzą od razu stu ludziom"!

Świat obiektywny, realny dostarcza tylko barw i rekwizytów konstrukcjom poety rządzącym się wewnętrznymi prawami i własną logiką. Wszystko tu jest umowne. Wyjęte z konstrukcji staje się natychmiast żartem:

> „Dom skrzydłami okiennic
> ulata w obłoki łun,
> mruga powieką dachu".

Oto burza lub bombardowanie w świecie autonomicznej poezji. Wiersze Laua należą również do szeregu wierszy żołnierskich, partyzanckich. Wojna jest bohaterką tytułową poetyckiej zabawy. Jednak wojna to znowu nierealna, zainscenizowana przez poetę i wkomponowana w krajobraz jako element jego dynamiki i piękna. Wybuch, huk, salwa, ogień — oto są ahumanistyczne przecież i ahistoryczne elementy wojny wzbogacającej jedynie pejzaż świata poetyckiego. Charakterystyczne, że nowatorska u nas w technice wierszowej poezja Czechowicza i Przybosia nie miała ambicji do odświeżania rekwizytów pejzażowych. Pod tym względem Lau nie różni się od nich — połączył jedynie oderwane elementy krajobrazu Przybosia: brzoza, obłok, wiatr wyjęte z poezji Lenartowicza i Kasprowicza, z fantastyką słowiańską obrazów Czechowicza, w których jest jezioro, niewód, płomień, wierzba, dziewczyna nad wodą.



Zarówno wojna jak problem walki i śmierci szukają sobie u młodego poety miejsca w jego systemie estetyki, nie w systemie wartości moralnych i światopoglądowych. **Wygląd świata jest jedynym światopoglądem poety.** Jest to w zasadzie postawa naturalistyczna, niezgodna ze współczesną tendencją do humanizowania treści poznania ludzkiego, nawet w zakresie nauki tak ścisłej jak ekonomia.

Jeśli by można mówić o jakimś pozaestetycznym stosunku poety do spraw historycznych, którymi się w swej estetyce interesuje, to stosunek ten wygodnie byłoby określić mianem behaviouryzmu. Opis dziania się historii przedstawiony jest jako znajdujący się poza zasięgiem ludzkiej świadomości.

> „Gdy schylam się nad cieniem
> ludzkiego kształtu,
> trawa wyrasta z ust".

To też żadna litość, żaden lament nie ma dostępu do tego surowego widoku. Mówiąc o tej postawie, typowej dla pewnego rodzaju literatury (Nałkowska „Meliony", Sandauer „Śmierć liberała") krytyk katolicki oskarżył ją, niesłusznie naszym zdaniem, o immoralizm. W wierszach Laua, jak zresztą i w poezji jego mistrza, Przybosia, ukryty jest cienki wątek emocji. Postawa poety — inteligenta na tle stworzonego przez siebie świata poezji jest uważna, pieczołowita wobec swoich tworów, skupiona. Lau zamazuje przez kolorystykę wziętą od Czechowicza czystość rysunku wiersza Przybosia, ale zachowuje gdzieniegdzie typ obrazu bez barwy, niby naszkicowanego tuszem:

> „Tylko świat się zmniejszy
> w szarą garść popiołu,
> gdy jaskółka narysuje
> twój rodzinny dom".

Stąd także zamiłowanie do pointy zawartej w nazwie drobnego przedmiotu: gałązka, ziarno. (Przybosia: „Szeptem sprawdzam wyraz ostatni").

Do błędu pomieszania fantastycznej obrazowości Czechowicza i prostej Przybosia dołącza się błąd wynikły znów z wtórności młodej poezji Laua: monotonia metafory. Jest to przeważnie metafora w formie rzeczownika z przydawką dopełniaczową, konstrukcja poetycka najbardziej dowolna i niesprawdzalna. Przykładów można by mnożyć bez końca. W jednym wierszu „Czemu wiosną" mamy ich ładny garnitur: flakon promieni, pancerz wody, bażanty drzew, tarcza stawu, pochodnia wiatru, powoje obłoków, ciernie spis, gwiazd rosa, ojczyzny świątek, skrzypce traw, organki kwiatów, struny blasku, niebo jeziora, Polski gałązka. Pedantyczne to wyliczenie niechże potwierdzi tezę o ubóstwie i schematyzmie środków poetyki będącej w użyciu uczniów Przybosia. Ich niewątpliwy trud w budowaniu wiersza, oszczędność w doborze słów nie opłaca im się w tym miejscu. — Sucha i jałowa jest ta ziemia. Wydaje się jednak, że nie można radzić poetom porzucenia jej po prostu. Nowe wiersze Laua drukowane w czasopismach wskazują próbę wyjścia ze sztucznego świata zbudowanego ze słów na obiektywną rzeczywistość społeczną.

> „Dziś murarz —
> biały pająk na rusztowaniu...
> ma czerwone oczy
> z wapna białe powieki..."
> („Oczy murarza", Odrodzenie nr 43 (152)

W innym wierszu jest znakomity żebrak z „blaszanką kul wybranych zamiast kropel krwi" („Wzruszone ręce", Nowiny Literackie nr 24). Dalsze próby humanizacji poezji Laua obserwować będziemy z uwagą. Są one przecież charakterystyczne dla całego niemal pokolenia poetów.

* Jerzy Lau „U płomienia", Kraków 1945 Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik".

Waldemar Kiwilszo

Dlaczego poezja niepokoju?

Sygnalizuje się kryzys w poezji. Szuka się stylu, który by mógł przekazywać nowe wartości kulturalno-społeczne, bo rzeczywistość przerasta konwencję dotychczasowych form literackich. Treść nowych czasów oczekuje na nowy język. Wydaje się, że nadszedł czas szukania nowych dróg. I to jest słuszne. Ale w poszukiwaniu właściwego wyrazu młodzież poetycka nawraca do dawnego „nowatorstwa" (dziś należy to ubezpieczyć cudzysłowem) przedwojennej awangardy. Pragnie ją odchuchać. Do tych należy również Tadeusz Różewicz.

Trudno by znaleźć społeczne czy historyczne usprawiedliwienie kontynuowania awangardowej poezji. Należy jasno zdać sobie sprawę z tego, czym u nas była w okresie międzywojennym ta szkoła poetycka i co ona reprezentowała.

Bunt przeciw formom zastanym, przekazywanie nadmiaru energii artystycznej w osobliwe, śmiałe, n i e p o w t a r z a l n e kształty i towarzysząca temu mglistość, programowa walka z przyjętymi konwenansami artystycznymi, poszukiwanie „przygody duchowej" były grymasem pogardy i lekceważenia rozbitego psychicznie mieszczaństwa (a bardziej jeszcze inteligencji) nieufnych w porządek świata. Tak się przedstawia w skrócie charakter i geneza międzywojennej awangardy.

Wojna przestawiła diametralnie koło naszego życia. Dziś kontynuowanie awangardowej techniki poetyckiej jest **daremnym mistyfikatorstwem.** Dla kogo by być miała ta poezja? Nie dla mas. Napewno. A dzisiaj „wyjście poezji na ulicę", porzucenie hermetycznego arytystostwa i uspołecznienie jest jednym z koniecznych zadań poezji. Ale w takim razie poezja powinna dążyć do jasności, prostoty i precyzji formy.

Niebezpieczne jest odczynianie przez młode pokolenie poetów przezwyciężonego już awangardyzmu dwudziestolecia. Przekonać



się o tym możemy na przykładzie poezji Różewicza, który uwikłał się w szlachetną, ale trudną grę niepokoju i poszukiwań.

Tomik wierszy Tadeusza Różewicza „Niepokój" *) obejmuje twórczość młodego poety z okresu lat 1945 — 1946 — a więc bezpośrednio po wojnie. Warto przyjrzeć się uważnie zajmowanej przez Różewicza pozycji twórczej.

Nie trudno ustalić szkołę poetycką w jakiej terminuje Różewicz. Przypatrzmy się laboratorium pisarza. Już z samego układu graficznego wierszy orientujemy się: — tok

*) Tadeusz Różewicz: „Niepokój" — wiersze str. 72, Kraków, 1947. Nakładem Wydawnictwa „Przełom".

P O E C I

zdania rozbity na poszczególne słowa. Czytamy:

„Oszukany tak, że możecie
mi wręczyć białą laskę ślepca
bo nienawidzę
was
uchodzę
z wczorajszego siebie". (Rok 1939).

Następuje drugie zdanie. Każde jest odrębną, samoistną metaforą. Wiersz składa się z dwu metafor. Konstrukcje słowne niezgodne są zupełnie z prawidłami składni zdaniowej. Unikanie wielosłowia. Jesteśmy blisko Przybosia.

Zawsze okresy dokonywujących się wielkich przemian zawierają w sobie nieodłącznie **znamiona niepokoju.** Towarzyszy temu w literaturze stawianie problemów, wtargnięcie treści publicystycznej, odchodzenie pisarzy od izolacjonizmu, egotycznej kontemplacji, szukanie komunikatywnego języka dla oparcia się o silną bazę społeczną. Najłatwiejsza okazuje się **wówczas technika reportażowa,** która poprzez zestawienia, konstatowanie faktów i zdarzeń życia codziennego wydobywa rzekomo na wierzch ich sens.

Do niej też sięga Różewicz. Poeta wyszedł na ulicę, by w jej zgiełku, wśród ludzi odnaleźć prawdziwe kontury rzeczywistości.

„Idę ulicą
ludzie biegną, ludzie jadą, ludzie krzyczą
ten sprzedaje
cudowny płyn na porost włosów,
szkaplerze,
trujące cukierki,
pornograficzne obrazki.
Obok w czerwonym kościele
grożą jeszcze śmieszni piekłem,
obiecują niebo,
zachwalają wiarę ojców naszych.
Sprytny z rybim okiem
i brodą, jak lisia kita z miedzi,
nabił sto tysięcy nędzarzy
w butlę
ogłosił bankructwo.
Mrowisko się roi. („Miłość").

Przez reportażowe zszeregowanie faktów mamy otrzymać wiedzę o świecie. Rzecz ciekawa, że wszystkie elementy są przedstawione w świetle ujemnym i nic dziwnego, że w końcu tego wiersza sam poeta oceni swój świat negatywnie:

„bzdura obłuda fałsz".

Wyobraźnia poety operuje śmiesznymi postaciami szarlatanów, sprzedających, modlących się, bankrutujących — jednym słowem obraca się ciągle w świecie błotka mieszczańskiego. Próbuje oczywiście zaznaczyć swój negatywny do niego stosunek. Ale negacja wymaga jednocześnie opowiedzenia się za czymś.

Może więc znajdziemy tu afirmację nowego ładu? Lecz poeta jeszcze go nie dostrzega. Jego świat zdeterminowany „reportażem", jest konwencjonalny i mieszczański po dawnemu.

„Liść przypomina jesień
wrzos jest fioletowy,
jak stary prałat".

Jesień to liść i wrzos. Jesień **przypomina** liść. Wrzos jest fioletowy.... jak prałat. Dla kogo te typowe reportażowe elementy wystarczały do iluzji jesieni? Dla kogo epitet wrzosu „fioletowy" jest źródłem wzruszenia? I dla kogo nadbudową dla rzeczy (jesieni) liścia i wrzosu jest świat, który obejmuje słowo prałat? Dla mieszczan w miasteczkach. Inaczej, chcąc być poetą pisał Liebert:

Popatrz, jesień się już zaczyna
Jarzębina ku ziemi się ugina.

Tu jest odchylenie od konwencjonalizmu praktycznego języka ku językowi poetyckiemu. Język Różewicza jest jeszcze surowy, zadawalający się często potocznymi konwenansami mowy.

Niepokój widoczny jest również w technice poetyckiej Różewicza. Dążenie do konformizmu, do realizmu, rezygnowanie z rozbudowanej metafory, konstatowanie i nazywanie rzeczy ma dać gwarancję adekwatności poezji w stosunku do rzeczywistości. Tymczasem treść jej nie poddaje się rygorom przejętego przez poetę systemu estetyki i obraz świata podlega deformacji, wymyka się spod organizującej władzy intelektu pisarza i przybiera cechy groteski.

„jesień
ptaszek bursztynowy
przejrzysty
z gałęzi na gałązkę
nosi kroplę złota". („Bursztynowy ptaszek").

Awangardowy „kostium" okazał się nie „na miarę". Autor nie mogąc opanować i zorganizować tworzywa poetyckiego przechodzi na igraszki słowne. Widoczny jest bezradny trud realistycznego przetransponowania sensu świata w słowo, w ramach estetyki „przerażonego mieszczaństwa". Ważny etap drogi poetyckiej i ideologicznej ma Różewicz poza sobą.

Lech Budrecki

Od Kasprowicza do Przybosia



Gdybym nie wiedział, że Sokół to młody poeta, że „Pocisk i lira" to debiut, nie wiem, czy bym nie nazwał tej małej książeczki tomem zręcznych pastiche'ów. Wydawałoby mi się, że ktoś, dla zabawy napisał historię polskiej poezji ostatnich 50-ciu lat, podrabiając style i techniki, jakie wówczas występowały. Powiedziałbym, że mu się udało, że wyczerpał prawie wszystkie kierunki i kieruneczki, z którymi jako pilny czytelnik pism literackich stale się spotykał. Zaczął od „Młodej Polski". Mówi o „zrozumieniu lotu ptaka do nieodkrytych gwiazd". Aha — myślimy — to ślad po Micińskim. A dalej:

„Idę polami pustymi
gdzie grusze w zachodzie dnia
płoną, jak strzępy gromnic".

To wyraźnie akcesoria Kasprowicza. I to ściśle z okresu „Hymnów" ze „Święty Boże". Kończy się wojna. Jesteśmy na progu II-giej niepodległości. Zaczynamy „Skamander" naturalnie od Tuwima. Najpierw pojawiają się biologiczne neologizmy („jędrnienie"), a potem... Potem czujemy się, jak po otwarciu „Siódmej jesieni"

„Precz z okna przewiał wiatr
po plecach, po niszach łzawo
Warszawo, zburzona Warszawo
młodzieńczych moich lat" —

Ale oto przechodzimy już do Wierzyńskiego. Oto wyjątek z wiersza, który zecer zapomniał wiączyć do „Wróbli na dachu":

„Gwiżdżę na was panowie
w sztywniakach!
Jedwab, tiule, mieszkam pod
jedynką
i śpiewam:
— svani per sempre il sogno mio
d'amore —
opium odkryłem w barwie
maków..."

Jednak obraz polskiej poezji nie jest zaniedbany przez opuszczenie prób i wysiłków pierwszej awangardy, czyli tzw. polskich futurystów. Nie trzeba szukać w antykwariatach tych wyczerpanych zazwyczaj tomików. Przewróćmy kilka stron. Anatol Stern o powrocie z Oświęcimia.

„Zatroskani idziemy drogą:
Oświęcim — dom
Krzyże za sobą
po drogach
pozostaw.
Tu
obok
leży brat i siostra".

Zdala sekundują mu pogłosy Wittlinowskich „Hymnów":

„...o chleb,
o litr powietrza,
o wody kubeł
o życia łyk".

Teraz kolej na dalsze pokolenia, na awangardę. Możemy być bez obaw. Jest Przyboś i Czechowicz...

Ale niestety nie leży przede mną tom pastiche'ów, których autora możnaby chwalić za wnikliwość. „Pocisk i lira" to zbiór, jak to się często mawia, „oryginalnych" poematów. Słyszeliśmy wszyscy chyba o synkretyzmie. Jeden z najciekawszych publicystów katolickiego obozu, oceniając całą zachodnio-europejską literaturę ostatnich kilkudziesięciu lat jako schyłkową, zarzucał jej właśnie synkretyzm.

Nie ma takiej poetyki 20-lecia, która w tym debiucie nie byłaby reprezentowana jednym chociaż wierszem. Bo są nawet ślady wpływu Młodej Polski. Pisarz widocznie wyruszył od podstaw i powoli przechodził przez całą historię poetyckich doświadczeń, jakie odbywały się w tych jeszcze niezbyt odległych latach. Każdy kierunek został zarejestrowany. Toteż gdy kartkuję „Pocisk i lirę" wydaje mi się, że pisarz pokazał nam swoje laboratorium, odsłaniając wysiłki i przygotowania do napisania tomu wierszy. Warsztat poetycki, został najwyraźniej udostępniony czytelnikowi, który może przyjrzeć się drodze, jaką odbywa młody poeta, pracujący nad wybraniem sobie jakiegoś stylu, jakiegoś wzorca.

— Ale „Pocisk i lira" to nie warsztat, który nam nieprzezornie odsłonięto — odpowiadali mi przyjaciele, gdy demonstrowałem im swą hipotezę. Poeta opublikował tomik, świadomie go ujawnił, podpisał się pod nim. Tych wierszy nie wykradli mu przecież wydawcy. Masz przed sobą poprostu jasny dowód zabłąkania w dzisiejszej problematyce literackiej, niemożności opanowania jej. Pisarz ma do dyspozycji wiele stylów, wiele technik. Nie może wybrać z nich żadnego. Raz Przyboś, raz Kasprowicz. To nie objaw specostwa, ale zagubienia się.

Tyle mówili moi przyjaciele. Nie wierzę im. Traktowali Sokoła, jak pisarza dojrzałego. U ludzi takich synkretyzm to naprawdę klęska, to koniec pisarstwa. U debiutanta jednak to niezbyt udany początek. Czekam na następny tom wierszy tego poety, by pokazać go kolegom i przekonać ich (oby tak było!), że nie mieli racji.

Tadeusz Chróścielewski

Epitafium drobnomieszczańskiej Warszawie

Patrzą na prawo, patrzą na lewo
A patrząc—widzą wszystko oddzielnie:
że dom... że Stasiek... że koń... że
drzewo...
Potem się modlą: „Od nagłej śmierci...
...od wojny... głodu... odpoczywania"
I zasypiają z mordą na piersi
W strasznych mieszkaniach straszni
mieszczanie.

Julian Tuwim — „Mieszkańcy"

Analizując „Powrót do miasta" Stanisława Ziembickiego pominę i jego śmiałą, świeżą metaforę i bogatą strukturę rytmiczną utworów. Omawiał je szeroko Leonard Podhorski - Okołów w nr. 12 (20) „Warszawy", witając debiut poetycki Ziembickiego entuzjastyczną recenzją. Recenzja ta jest jeszcze jednym przykładem, jakie niebezpieczeństwa dla egzegezy utworu kryje zacieśnianie krytyki do analizy formalnej. Uwagę badacza zaprzątnęło nowatorstwo wersyfikacji, a rozważania nad treściami ideologicznymi ograniczył do imputowania bezimiennym członom poematu jednozdaniowych tytułów czy też do rzucenia szeregu sloganów-superlatywów, których zdolność wyjaśniania sensu poezji równa jest takiejże zdolności wyroczni pytyjskiej. Czytelnik dowiaduje się m. i. że Ziembicki „ze wszystkich poetów katolickich najmniej bodaj deklaruje się ze swą religijnością". Wyniki tych rozważań wystarczają krytykowi, by zaproponować wyrycie na ruinach warszawskich kamienic, jako ideowy odpowiednik starogreckiego: „Przechodniu, powiedz Sparcie..." następującego urywka z poematu:

„Te drzazgi, co ponsowe są i w płytę wpięte,
to mogą być odłamki paznokci twej żony
albo siostry i lakier został na kamieniu,
kiedy go tu nosiły, by dom twój osłonić".

Tomik Ziembickiego jest ambitną próbą stworzenia nowego rodzaju literackiego przez zespolenie dwóch elementów, których symbioza nie grozi powikłaniem linii utworu-poematu opisowego i trenu.

Nastrój „żalów" niosło wojenne przyżycie. Za poematem stały świeże tradycje. Poemat opisowy wydobyli w latach trzydziestych z antykwariatu literatury młodsi skamandryci, czy to w celu przyjrzenia się komplikującej się rzeczywistości w latach przedwojennych, jak Szenwald — „Kuchnia mojej matki", Światopełk Karpiński — „Poemat o Warszawie", czy dla stylizatorstwa — Gałczyński— „Opis domu poety".

Jak wygląda rzeczywistość i jej interpretacja w poemacie Ziembickiego o zburzonej w tragicznym powstaniu Warszawie?

„Odszukam pod trzewikiem odłamki kawiarni,
rudy grzebyk fryzjera i okruchy sklepów,
tu leży kropla mleka, źrenica mej matki,
wschodzi listek bobkowy i kiełkuje sól.
Na błękitnym placyku ktoś rozsypał trawę —
siostrzyczka pewnie, zawsze była nieuważna
i mleka donosiła w dzbanku tylko pół".

Inny przykład:

„...gdzie drzazgi
szkła ugrzęzły, a gwoździe, jak rzędy latarni
i placyk w przylepionym liściu, a to wszystko
jakby tylko wiewiórka pobiegła po piasku."

Specyficzne dla naturalizmu realia, na które podrażniona makabryzmem przejść wojennych wyobraźnia autora reaguje bardzo żywo, włącza Ziembicki w obcy naturalizmowi kontekst ckliwego pejzażu zdobiącego drobnomieszczańską sypialnię. To samo skojarzenie z mieszczańskim melodramatem nasuwają sentymentalne assocjacje i niezmiernie częste zdrobnienia. Drugą właściwością poetyki Ziembickiego jest brak plastyki opisu. W pierwszym fragmencie cecha ta występuje szczególnie ostro.

Przy pokazywanych realiach częsty brak atrybutów niezbędnych do powstania w wyobraźni czytelnika obrazu, luki, jedno-płaszczyznowość w zestawianiu przedmiotów o konturach dużych z ledwo dostrzegalnymi gołym okiem — zastygła kropla mleka, krwi, wreszcie brak powiązań.

Ciekawe, że skojarzenia, które budzą pokazywane przedmioty zamierają na pierwszym ogniwie asocjacyjnym. Próżno chcielibyśmy się dowiedzieć czegoś więcej o tej „nieuważnej siostrzyczce" co rozlewała mleko.

Tuwim podpatruje jedną dość znamienną cechę środowiska drobnomieszczańskiego:

„Patrzą na prawo, patrzą na lewo,
a patrząc — widzą wszystko oddzielnie,
że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo".



Spojrzenie Ziembickiego — to zaczepiające jedynie o powierzchnię rzeczy i zjawisk, nie umiejące ich razem wiązać spojrzenie sentymentalnego drobnomieszczanina. Zatrzymuje się też najchętniej na: ruinie czynszowej kamienicy, ruinie dwóch sklepów, o których marzyli nieżyjący, a które autor „może schować teraz pod jednym trzewikiem", grzebyk fryzjera, ślad ręki zegarmistrza. Ziembicki dostrzega w katastrofie stolicy Polski katastrofę przede wszystkim drobnomieszczaństwa. Nad nią też ubolewa w partiach refleksyjnych, które są wstawionymi w poemat trenami, w tonie Jeremiasza, a często niedomawiającej jeszcze słów „Sapho Słowieńskiej":

„...A wokół naprózno
Trzepotały się drobne, lękliwe banieczki —
bo tak marły córeczki, z nimi i synkowie,
co byli w krwi ździebełkach i w ciepłym
oddechu..."

Stąd dla Ziembickiego powstanie zdaje się być wyłącznym dziełem drobnomieszczaństwa. Refleksje o powstaniu łączą je zawsze z tym środowiskiem — stąd też treny poświęcone apoteozie „wiechowskiego" „Świętego złodzieja" i — najdoskonalszy artystycznie wiersz poematu — o poległym Stróżaku.

W tym lirycznym spojrzeniu na pogrzebany „najpiękniejszy ze światów" brak dystansu między „wczoraj" a „dzisiaj" — dystansu, jaki wytwarza wyciągniecie wniosków z przeszłości, by iść naprzód.

Wizja przyszłej Warszawy pojawiająca się pod koniec poematu, — odpowiednik „widzenia abo snu" w „Trenach" Kochanowskiego— rozwiązanie dramatu — to nadal ckliwa, odświętnie wystrojona Warszawa drobnomieszczańska. Z uśmiechem rozrzewnienia marzy autor o czasie, gdy siostry i matki nie będą miały innych trosk poza pielęgnowaniem pelargonii, poza kurami i... deszczem.

W poemat opisowy włącza autor również poemacik metafizyczny w typie Lamartina czy Lermontowskiego „Demona", tłumaczący „metafizyczny sens" niedawnych dziejów Warszawy. Kompozycyjnie stanowi on ową wyższą platforme — nieodłaczny składnik starej epopei od Homera do Tassa, na której zapada rozstrzygnięcie ostateczne. Niepoważne i zgoła dziwaczne potraktowanie i tak już ryzykownego i — z punktu widzenia myśli katolickiej — arcytrudnego tematu, nie może dziś nie wywołać oburzenia.

Użyję tu starej — „stara ale jara", — metody streszczenia. Zniszczoną Warszawę ma włożyć na skronie zamiast korony cierniowej Chrystus (z Dogmatu Opatrzności możnaby wyprowadzić logiczny wniosek, przed którym autor, na szczęście, zatrzymuje się, że taki był cel powstania) — wizja niby z „Przedświtu" powstańców klękających u stóp Zbawiciela. W przygotowaniu do tej koronacji aniołowie — jakież dziwaczne karambole fantazjotwórcze! — ewakuują z przeznaczonego „na miejsce Święte Świętych" pogorzeliska powietrze „co dla zabitych było i nienarodzonych". Jednakże jeden z pracujących przy „wywózce" aniołów użalił się nad człowiekiem, który krzątał się wokoło ruin swego domu i rzucił mu garść powietrza. Dzięki tej „błogosławionej zbrodni" Warszawa będzie istniała dalej.

*) Stanisław Ziembicki — „Powrót do miasta" — Poemat o Warszawie — Warszawa 1947 — Nakł. Kat. Tow. Wyt. „Rodzina Polska".

Juliusz Zajdowski

JUGOSŁOWIAŃSKIE 5 LAT

Jugosławia podobnie jak i inne państwa zniszczone działaniami wojennymi, weszła na drogę nowoczesnego planowania gospodarczego, tworząc swój plan pięcioletni. Metoda planowania czyli ujmowania przewidywań i zamierzeń gospodarczych w ogólnokrajowy plan gospodarczy, wyrażony wielkościami pieniężnymi i rzeczowymi nie jest zagadnieniem nowym, ma za sobą wypróbowane wzory gospodarki socjalistycznej.

Tworząc plan pięcioletni Jugosławia nie poszła najprostszą drogą kopiowania wzorów i wykorzystania doświadczenia ekonomistów radzieckich, lecz oparła się na skonkretyzowanym systemie pracy, na optymalnej zdolności produkcyjnej przedsiębiorstwa jako całości, na wzorach wydajności pracy, kosztach produkcji i wartości pracy robotnika.

Podstawą prawną pięcioletniego planu gospodarczego jest uchwała Jugosłowiańskiej Izby Ustawodawczej z 22 maja 1946 r., powołująca do życia specjalny organ: Związkową Komisję Planowania, która obejmuje swym zasięgiem 6 autonomicznych republik, wchodzących w skład państwa. Na niższych szczeblach administracyjnych przy wszystkich radach miejskich, czy wiejskich pracują komisje planowania, które kolei podlegają powiatowym i republikańskim komisjom planowania, te ostatnie zaś tworzą Związkową Komisję Planowania, główny organ planowania.

Związkowa Komisja Planowania dzieli się na cztery sekcje: proporcji, produkcji, inwestycji oraz ogólną. Kierownikiem każdej z tych sekcji jest zastępca przewodniczącego Komisji. W swej wewnętrznej strukturze sekcje dzielą się na wydziały i tak np. sekcja proporcji ma wydziały: ogólnych bilansów gospodarczych, bilansów materiałowych, handlu zagranicznego, planów finansowych, zatrudnienia i płac, sekcja produkcji — wydziały przemysłu ciężkiego, przemysłu lekkiego, produkcji rolniczej i leśnej, cen i zniżenia kosztów własnych, transportu i łączności, handlu wewnętrznego; sekcja inwestycji — wydziały przemysłu ciężkiego, przemysłu lekkiego, inwestycji, mających na celu poprawę warunków życia robotników, ochronę zdrowia, oświatę oraz sekcja ogólna podzielona na wydziały łącznego planowania, metodologii, organizacji planowania i koordynacji planów narodowych republik.

Analogiczną budowę do Związkowej Komisji Planowania posiadają komisje planowania poszczególnych republik.

Opracowanie planu gospodarczego poprzedzone zostało następującymi pracami przygotowawczymi: obliczone zostały zniszczenia i straty, jakie Jugosławia poniosła w okresie drugiej wojny i okupacji niemieckiej. Szkody, wyrządzone przez okupanta, są bardzo duże. Cyfrowo i procentowo przedstawiają się one następująco w porównaniu z rokiem 1936: domów zniszczonych zostało 20 proc. ogólnej liczby, tabor kolejowy zmalał do 34,5 proc., zniszczono 43 proc. torów kolejowych, 5.247 tuneli, tonaż morskiej floty handlowej zmniejszył się do 38,4 proc., straty w ludności oblicza się na 20 proc. Poważne też straty poniosło rolnictwo: ubytek tylko w pogłowiu bydła w okresie wojny wyniósł 50 proc., nie licząc koni, trzody chlewnej i owiec. — Straty rzeczowe, poniesione przez społeczeństwo jugosłowiańskie, a o które zostało zmniejszone gospodarstwo narodowe, oszacowano na 9,1 mild. dol. przedwojennych.

Mimo tych olbrzymich strat Jugosławia energicznie wzięła się do porządkowania kraju zniszczonego działaniami wojennymi. — Rząd ludowy stanął na stanowisku, że wykonanie planu uzależnione jest od rozwiązania trzech problemów: surowcowego, finansowego i sił pracowniczych. Dzięki zespoleniu tych trzech zagadnień oraz dobrej woli społeczeństwa na drodze odbudowy i rozbudowy przemysłu, rolnictwa, transportu i handlu, podniesie się wydajność, a poprzez lepszą organizację pracy i osiągnięcie korzystniejszych warunków, co w konsekwencji zwiększy dochód narodowy.

Po roku pracy przy współudziale całego społeczeństwa Jugosławia stanęła na mocnych nogach i mogła podać światu do wiadomości, że osiągnęła 80 proc. przedwojennego poziomu produkcji przemysłowej, tabor kolejowy odbudowano w 50 proc., zakłady przemysłu drzewnego w 50 proc., dając krajowi surowiec drzewny do odbudowy.

W założeniu swoim pięcioletni plan gospodarczy przewiduje odbudowę wszystkich gałęzi przemysłu i gospodarstw rolnych w stopniu znacznie wyższym w porównaniu z poziomem produkcji przedwojennej. W wyniku szeroko zamierzonej akcji planowej dochód narodowy obliczony w r. 1939 na 136 mild. dynarów ma wzrosnąć w 1951 r. prawie dwukrotnie, a przeciętny dochód narodowy, przypadający na 1 mieszkańca, podniesie się z 8 na 15 dynarów w r. 1951. Tak znaczne zwiększenie ogólnego dochodu narodowego i przeciętnego, przypadającego na 1 mieszkańca osiągnięte zostanie przez rzucenie olbrzymich kapitałów na planowane inwestycje. W okresie pięcioletnim inwestycje kapitałowe wyniosą 278,3 mild. dynarów, tj. ok. 6,3 mild. dolarów St. Zjedn. z r. 1938. W ostatnim roku planowane są inwestycje w wysokości 69,6 mil. dol., tj. 3½ raza większe pod względem swej wartości niż w r. 1938. Świadczyć to będzie o dużym wysiłku finansowym rządu. W r. 1938 wydatki budżetowe państwa na ten cel wyniosły około 35 proc. ówczesnego rocznego dochodu narodowego.

Program rządowy pragnie wykorzystać wszystkie możliwości, które zabezpieczą realizację planu pięcioletniego. Do pracy zaangażowany będzie cały potencjał ludzki i materiałowy. W wyniku tej zespolonej akcji i ulepszenia metod pracy wartość produkcji krajowej w r. 1951 będzie pięciokrotnie większa w porównaniu z wynikami osiągniętymi przed wojną. Jugosłowiański plan gospodarczy wyszedł z założeń, że podstawowym czynnikiem rozwoju gospodarstwa narodowego jest możliwie największe uprzemysłowienie i elektryfikacja kraju. W związku z tym mają być odbudowane wszystkie zakłady przemysłowe, zniszczone przez okupanta, rozszerzony zakres pracy obecnie istniejących oraz stworzenie nowych gałęzi produkcji, tak by kraj całkowicie uniezależnić od importu wyrobów przemysłu metalowego. — Szczególny nacisk położony będzie na rozwój przemysłu elektrycznego, maszynowego i materiałów budowlanych.

Przewidywany roczny wzrost produkcji w roku 1951 główniejszych artykułów w wyniku realizacji pięcioletniego planu gospodarczego przedstawia się następująco: tkaniny bawełniane 250 miln. metrów (216 procent wzrostu w porównaniu z r. 1939), tkaniny wełniane 24,2 miln. metrów (181 proc.), cukier 230 tys. ton (214 proc.), tytoń fermentowany 46 tys. ton (278 proc.), cement 2.200 tys. ton (33 proc.), węgiel 16.5 miln. ton (272 proc.), ruda żelazna 1.500 tys. ton (245 proc.), stal 760 tys. ton (326 proc.), papier 145 tys. ton (289 proc.). Ciężki przemysł maszynowy, zaniedbany całkowicie przed wojną, wyprodukuje lokomotyw 100 sztuk, wagonów towarowych 5.500 sztuk (wzrost o 28.947 proc.), maszyn rolniczych 34 tys. sztuk, traktorów — 1.500 sztuk, samochodów ciężarowych 6.000, poza tym wozy ogumione, nawozy sztuczne itp.

W ramach planu pięcioletniego projektowane jest także w Jugosławii znaczne zwiększenie produkcji opon samochodowych. — W tym celu zbudowanych ma być kilka fabryk przemysłu gumowego. Aby umożliwić zaopatrzenie tych fabryk w tańszy surowiec, a jednocześnie uniezależnić się od zagranicy w zakresie przywozu kauczuku, założone mają być plantacje drzew kauczukowych. Ma to być narazie eksperyment, panuje jednak przekonanie, że zarówno gleba, jak i warunki klimatyczne Jugosławii okażą się odpowiednie dla uprawy drzew kauczukowych i że Jugosławia będzie mogła w niedługim czasie rozwinąć własną produkcję kauczuku.

Udział przemysłu w dochodzie narodowym wzrośnie i w roku 1951 wyniesie 47 proc., podczas gdy w roku 1939 wynosił on 22 proc.

Rozwinięty do planowanych rozmiarów przemysł jugosłowiański zapewni pracę i dobrobyt klasie robotniczej. Podniesie się wartość produkcji przypadającej na 1 robotnika i znacznie przekroczy poziom przedwojenny. Przewidywany wzrost wyprodukowanych podstawowych artykułów przypadających na jedną osobę, będzie przedstawiał się w r. 1951 następująco: wartość produkcji przemysłowej według cen 1947 r. — 10.625 dynarów (wzrost o 315 proc. w porównaniu z r. 1939), węgla — 1031 kg (205 proc.), cementu — 137,5 kg (324 proc.), stali — 48 kg (320 proc.), tkaniny — 19,4 m. (223 proc.), obuwia — 1 para (250 proc.), cukru — 14,4 kg (200 proc.), energii elektrycznej — 272 kilowatów (383 proc.).

Tego podciągnięcia stopy życiowej robotnika nie należy uważać za równe tej, w jakiej żyje jego kolega w zachodniej Europie, ale już teraz stoi ona na poziomie znacznie lepszym niż w r. 1939. Opieką otoczono ciężko pracujących robotników. Rząd federalny wydał cały szereg zarządzeń w sprawie podwyżki płac górników, dodatkowych racji żywnościowych oraz systemu zaopatrzenia okręgów górniczych. Opracowane zostały również przepisy ochronne dla pracy podziemnej. — Plan przewiduje sumę 69 miln. dynarów na budowę mieszkań dla górników.

W stosunku do produkcji rolnej pięcioletni plan gospodarczy przewiduje wzmożenie mechanizacji gospodarki i elektryfikację wsi. W obecnych warunkach rolnictwo na ziemiach serbskich przeciętnie dysponuje 1 traktorem na 600 ha ziemi ornej. Sytuację tę znacznie poprawiła pomoc UNRRA. Przemysł krajowy planuje produkcję własnych traktorów oraz maszyn do uprawy roli, do siewu i sadzenia, żniwiarek, młockarni itp.

Mimo podniesienia kultury rolnej nie jest przewidywane tak znaczne zwiększenie zbiorów. Wzrost produkcji rolnej w r. 1951 wyrazi się w 151 proc. w porównaniu z r. 1939. W ogólnym zaś dochodzie narodowym udział produkcji rolnej obniży się z 55 proc. w r. 1939 na 36 proc. w r. 1951.

W produkcji rolnej główny nacisk położony będzie na zwiększenie powierzchni uprawy rolin przemysłowych, przy czym przewiduje się zwiększenie jej o 200 proc., podczas gdy powierzchnia przeznaczona pod uprawę kultur zbożowych pozostanie bez zmiany. — Rząd przywiązuje duże znaczenie do sposobu uprawy roli i przez podniesienie kultury będzie dążył do uzyskania lepszych plonów. — Pod uprawę roślin zbożowych przeznaczono na rok 1951 — 7.770 ha (w r. 1939 — 7.235 ha, wzrost 106 proc.) i planuje zbiór 8.710 tys. ton (w r. 1939 — 7.600 tys. ton, wzrost 113 proc.), z czego na pszenicę 2.300 ha (w r. 1939 — 2.260 ha) o zbiorze 2.990 tys. ton ziarna (w r. 1939 — 2.398,3 tys. ton) oraz na kukurydzę 2.300 ha (w r. 1939 — 2.794 ha) o zbiorze 4.439 tys. ton (w r. 1939 — 4.253,9 tys. ton). Pod rośliny przemysłowe przeznaczono w r. 1951 500 ha, podczas gdy w r. 1939 obsiana powierzchnia wynosiła 204 ha (wzrost 245 proc.).

Zdewastowane przez okupanta lasy będą poddane specjalnej opiece. Przez racjonalnie prowadzoną kulturę leśną planuje się osiągnięcie nadwyżek 18,5 miln. m^3 lasów rocznie, czyli o 84 proc. poziomu przedwojennego.

Drugim ważnym zagadnieniem w rolnictwie jest odbudowa pogłowia koni i bydła, wyniszczonego i wywiezionego w wyniku rabunkowej gospodarki okupanta. Jugosławia straciła 50 proc. przedwojenej ilości bydła, 70 proc. trzody chlewnej i bardzo znaczną ilość koni. W planie gospodarczym w r. 1951 Jugosławia pragnie w produkcji hodowlanej nie tylko dorównać do liczebnego stanu przedwojennego, lecz znacznie go przewyższyć, z wyjątkiem koni, które będą zastąpione maszynami rolniczymi i ciągnikami. Zaplanowane zostało w roku 1951 wyhodowanie 1.160 tys. sztuk koni (w r. 1939 — 1.273 tys. sztuk, 91 proc.), 4.920 tys. szt. bydła (r. 1939 — 4.225 tys. szt., 116 proc.), 6 mil. sztuk trzody chlewnej (r. 1939 — 3.504 tys. sztuk. 171 proc.) oraz 14,8 mil. sztuk owiec (r. 1939 — 10,2 mil. szt., 146 proc. Pomyślnie osiągnięte wyniki w zakresie hodowli pozwolą na wyprodukowanie w r. 1951 — 464,9 tys. ton mięsa (w r. 1939 — 390,5 tys. ton, wzrost 117 proc.), 124,4 tys. ton tłuszczu (w r. 1939 — 81,4 tys. ton, wzrost 155 proc.), 3.199 tys. litrów mleka (r. 1939 — 2.200 tys. litrów) oraz 1.560 mil. sztuk jaj (w r. 1939 — 882 miln. sztuk). Będzie to produkcja dostateczna na pokrycie potrzeb rynku wewnętrznego, a częściowo przeznaczona na eksport.

Tabor kolejowy i środki transportu drogowego zmniejszone zostały o 2/3, stąd też Związkowa Komisja Planowania stanęła przed poważnym problemem, ponieważ w znacznej mierze od usprawnienia transportu zależy rozwój życia gospodarczego. Plan pięcioletni przewiduje znaczną rozbudowę i usprawnienie transportu kolejowego, morskiego i samochodowego oraz budowę dogodnych dróg. Szczególnie porty i tonaż okrętowy posiadają duże znaczenie. Nad odbudową ich pracują kadry wykwalifikowanych pracowników. Odbudowane linie kolejowe połączą porty z ośrodkami ciężkiego przemysłu i umożliwią dostawę surowców z zagranicy. — W ramach planu pięcioletniego zawarła Jugosławia szereg traktatów handlowych o charakterze wymiennym, m. in. z Polską i anglosaskimi strefami Niemiec.

Wykonanie pięcioletniego planu gospodarczego uzależnione jest od szerokich mas społeczeństwa jugosłowiańskiego, znacznego powiększenia wydajności pracy oraz corocznych inwestycji kapitałowych, przeznaczonych przez rząd na akcję planowania. Przewidziane są następujące wkłady w poszczególne gałęzie gospodarki narodowej: przemysł 25,2 mild. dynarów (w r. 1939 — 3,7 mild. dyn., 681 proc.), rolnictwo 5,1 mild. dynarów (1,4 mild. dyn. 364 proc.), leśnictwo 0,8 mild. dyn. (0.2 mild. dyn., 400 proc.), transport 20,5 mild. dyn. (3 mild. dyn., 683 proc.), handel 2 mild. dyn. (0,5 mild. dyn., 667 proc.) i inne 16 mild. dyn. (4,9 mild. dyn., 327 proc.).

Przez podniesienie wydajności pracy oraz przez przeszkolenie zawodowe zamierza się osiągnąć większe normy pracy. Planuje się zwiększenie zatrudnienia w r. 1951 o 240 proc. w przemyśle naftowym, o 60 proc. w przemyśle węglowym, o 80 proc. w elektrotechnicznym, o 57 proc. w chemicznym, o 55 proc. w włókienniczym i o 69 proc. w skórzanym.

Pięcioletni plan gospodarczy Jugosławii w oparciu o klasę robotniczą i chłopską zmieni w stosunkowo krótkim czasie wygląd kraju, dając mu charakter przemysłowo - rolniczy a masom pracującym zajęcie i lepsze warunki utrzymania.

Zajdowski Juliusz

Jakub Litwin

PROSPERO I KALIBAN

Nie dziwi mnie, że Anglicy stworzyli postać Kalibana. Dziwi mnie jednak, gdy angielski Prospero zaczyna wmawiać Kanibalowi, że jest jego dobroczyńcą.

Tak to kiedyś premier Attlee — w mowie poświęconej zagadnieniu niepodległości Indii — dowodził, że Wielka Brytania była i jest nietylko opiekunem ale i najwierniejszym przyjacielem narodów indyjskich, że ona to obdarzyła Indie wielkim dobrobytem, wielką kulturą i wielu jeszcze innymi „wielkościami".

Być może! Trzeba jednak zapytać Kalibana co sądzi o przyjacielu, Prospero bowiem — człowiek bezwątpienia wielkiej kultury i erudycji — często nie dostrzegał spraw ludzkich.

Przed niedawnym czasem ukazała się obszerna książka hinduskiego profesora Shelvankara, poświęcona, między innymi, sprawie stosunków brytyjsko - indyjskich.

A więc... kapitalizm, przeszczepiony na wieś indyjską przez Brytyjczyków, rozbił wspólnotę rodzinną dominującą w indyjskiej gospodarce rolnej. Ziemia została rozproszkowana wśród indywidualnych właścicieli lub dzierżawców — i właściciel lub dzierżawca, uzyskując prawo swobodnego dysponowania ziemią, wypuszczał ją w dzierżawę w tych okolicach, gdzie dzierżawa przynosiła większe zyski niż własnoręczna uprawa. Olbrzymi popyt na ziemię, spowodowany utratą pracy przez ogromne rzesze rzemieślników, podwyższył wysokość czynszów dzierżawnych ponad wszelką dotychczasową normę. I, w istocie, polityka handlowa Anglii, otwierając rynek indyjski dla gotowych wyrobów przemysłu brytyjskiego, podważyła tym samym podstawy egzystencji ludności, zatrudnionej w przemyśle. Robotnicy przemysłowi odpływali z powrotem na wieś, przyśpieszając tym samym proces dalszego rozdrobnienia ziemi. Od roku 1911 do 1931 liczba robotników przemysłowych w Indiach w stosunku do ogółu ludności spadła o 20%.

Jednocześnie wprowadzenie gospodarki pieniężnej w obrotach rolniczych przyspieszyło proces zadłużenia wsi. Z punktu widzenia administracji i handlu brytyjskiego, przejście do gospodarki pieniężnej stanowiło niewątpliwą korzyść. Przymuszenie jednak rolnika do płacenia podatków w formie pieniężnej naraziło go na straty, przy wszelkich fluktuacjach i wahaniach rynkowych i spowodowało zaciąganie pożyczek lichwiarskich.

Raport Królewskiej Komisji Rolniczej stwierdził zupełnie niedwuznacznie, że „dla uzyskania pożywienia, niezbędnego na utrzymanie rodziny, rolnik musi się zwracać do wierzycieli o nowe kredyty. Wierzycielom tym, jest on prawdopodobnie winien już więcej, niż wynosi wartość uprawianej przezeń ziemi".

Kropka. Bez komentarzy.

Problem następny.

Kapitał brytyjski, inwestowany w Indiach nie kierowano do tych dziedzin, któreby mogły zapewnić krajowi jak najszybszy rozwój gospodarczy — kierunek inwestycji warunkowany był natomiast możliwością jak największych zysków. Nie lokowano kapitałów ani w robotach drenażowych czy irygacyjnych, ani też w budowie nowych lub utrzymaniu w należytym stanie istniejących już kanałów czy tam wodnych. A od tych właśnie prac zależał byt 80% ludności indyjskiej. Inwestowano natomiast kapitały w plantacje, kopalnie, banki, domy handlowe, towarzystwa okrętowe — w te w ogóle dziedziny, które przynosiły jak najszybszy i jak największy zysk kapitałowi angielskiemu. Wiele z tych inwestycyj było same przez się pożytecznych, nie odpowiadały jednak potrzebom kraju, jego etapowi rozwojowemu, były dokonywane za cenę oprocentowania niewspółmiernie wyższego od stopy istniejącej na londyńskim rynku pieniężnym. Ta wygórowana stopa procentowa i skorumpowana administracja przedsiębiorstw brytyjskich w Indiach powodowała deficyt tych przedsiębiorstw, które w warunkach „klasycznej ekonomiki kapitalistycznej" musiały zbankrutować. Nie bankrutowały jednak — przeciwnie, płaciły jeszcze dywidendy — tylko i wyłącznie dzięki systemowi gwarantowanych zysków z dochodów Indii. (Warunki te nie są obce i Polsce. Przypominają zbyt dobrze klauzulę umowy z angielskim towarzystwem „Power and Traction" przy budowie elektrycznych kolei dojazdowych).

Zapewne i tu komentarze są zbyteczne!

Problem trzeci i ostatni.

Wielka Brytania prowadziła w Indiach gospodarkę wolnohandlową.

Częstokroć brytyjczycy usiłują usprawiedliwić stosowanie tej polityki tym, że była ona uprawiana w wyniku „przekonań intelektualnych". Należy jednak tu stwierdzić, że przekonania te zostały wzmocnione przez przemysłowców z Lancashire, którzy przed 1882 r., tj. przed datą zniesienia opłat celnych na import towarów bawełnianych w Indiach, odmawiali tolerowania nawet tych niskich opłat, które rząd stosował w celu zrównoważenia budżetu. A eksport towarów włókienniczych był w istocie rzeczy nader niekorzystny dla przemysłu indyjskiego. Statystyka najlepiej zobrazuje ten stan rzeczy.

Wartość importu do Indii wynosiła w 1860 r. 110 milionów rupii czyli 20 razy więcej niż w 1830 r. W 1890 r. wynosił zaś 310 milionów rupii, by w następnym dwudziestoleciu podskoczyć do sumy 663 milionów rupii.

Przemysł brytyjski nie tylko pokonał dawnego konkurenta indyjskiego w zakresie produkcji towarów włókienniczych stosowaniem wolnego handlu i lepszą komunikacją, starał się on również utrudnić a nawet uniemożliwić budowę przemysłu rodzimego. W tym zaś celu nałożył rząd londyński wygórowane cła na import wszelkich artykułów przemysłowych.

I cóż, drogi Prospero? Dziwisz się jeszcze, że Kaliban chce się wyswobodzić spod twej opieki?

Stefan Lewicki

O pszenicy — panowie inteligenci!

W okresie wkraczania naszego nowego życia gospodarczego we wszystkich jego przejawach na drogę normalnego rozwoju stoimy, jako kraj wybitnie rolniczy, wobec konieczności wszechstronnego oświetlenia racjonalnych podstaw dla produkcji naszych zbóż. Wytwórczość ta, jak wiadomo, jest fundamentem naszego bytu gospodarczego, bo stanowi nie tylko o dostatnim wyżywieniu ludności, ale niemniej o naszym dodatnim bilansie handlowym.

W okresie przedwojennym stawaliśmy corocznie wobec trudnego zagadnienia zbytu naszych nadwyżek zbożowych, w szczególności żyta, nadmiar produkcji którego był tak duży, że często nie dawał się ulokować na rynkach zagranicznych bez kosztownego premiowania ze strony Rządu każdego wywożenia kwintala tego zboża. Ale nawet i w tych warunkach żyto zwykle nie zwracało rolnikowi własnych kosztów produkcji. Ponieważ jednostkowa cena tego zboża na rynku wewnętrznym była jeszcze niższa, świadczyło to dobitnie, że rozporządzaliśmy jego istotnym nadmiarem, spowodowanym nie oszczędnością w spożyciu, lecz zbędną wytwórczością.

Skoro taka zbędna wytwórczość żyta, już przy jego średnim plonowaniu, powtarzała się stale, mieliśmy niewątpliwy dowód istnienia jakiegoś kardynalnego błędu, tkwiącego w ekonomiczno - gospodarczej stronie całego zagadnienia. Inaczej scharakteryzować tego nie można, nie trzeba bowiem bliżej dowodzić, iż produkcja nieopłacalna, trochę wcześniej czy później, musi doprowadzić do gospodarczego kryzysu, jaki też istotnie przed ostatnią wojną dotknął polskie rolnictwo w silnym stopniu.

Czy powyższy błąd miał swoje źródło w tym, że nasze żyto było jakościowo słabe i dlatego z trudem tylko znajdowało nabywców, czy też produkowaliśmy go nadmiernie dużo kosztem innych działów wytwórczości zbożowej?

WIĘCEJ PSZENICY!

Zagadnienie jakościowej wartości naszego żyta, uprawianego na ziemiach polskich, zostało przeze mnie opracowane na podstawie wyczerpujących badań laboratoryjnych, przeprowadzonych w Puławach.

Nie wdając się tutaj w szczegóły tych badań, które są zresztą do dyspozycji w wydanych publikacjach, omówimy tylko podstawowe cechy jakościowe ziarna naszego żyta. Są to własności przemiałowe i wypiekowe. Zarówno jedne, jak i drugie stawiają nasze żyto na wysokim poziomie. Odchylenia od przeciętnych wartości przemiałowych czy wypiekowych, wprawdzie zachodzą, ale dotyczą głównie takich partii żyta, które nie zostały należycie doczyszczone. Dotyczyło to przeważnie zboża wyprodukowanego w drobnych gospodarstwach, nie posiadających odpowiednich maszyn do czyszczenia i sortowania ziarna. Jest to zresztą zagadnienie natury ogólnej, które musi być rozpatrzone i załatwione w odniesieniu do takiej czy innej poszczególnej produkcji, lecz w ramach szeroko rozwiniętej organizacji stacji czyszczenia ziarna, gminnych, zespołowych czy też na podstawach spółdzielczych.

Badania wykazały również, że wydajność mąki i pieczywa zależy w pewnym stopniu od odmiany żyta i jego pochodzenia. Najlepsze wyniki otrzymano przy jednostajnym zielonym zabarwieniu ziarna. Taką barwę ziarna wydają nasze polskie odmiany, zebrane we właściwym czasie (nie przejrzałe na pniu) jak też żyto petkuskie. Żyto tzw. zbiórkowe, mieszane, o różnych odcieniach ziarna i różnym stopniu jego wykształcenia, daje często wyniki nierówne, niepewne, co samo przez się obniża wartość handlową i konsumcyjną zboża już na rynku wewnętrznym, nie mówiąc o ocenie na giełdach zbożowych przy eksporcie. Jest zresztą znaną kardynalna zasada w handlu, iż każdy towar, który ma mieć szanse konkurencyjnego powodzenia, musi być jednolitym co do swych zasadniczych właściwości, zewnętrznych i wewnętrznych. Otóż żyto o takich cechach można otrzymać przy uprawie określonych odmian hodowlanych oraz należytym doczyszczeniu ziarna. Stąd wniosek i wskazówki dla naszych producentów żyta.

Zatem standaryzację żyta polskiego oprzeć można na dwu podstawowych cechach:

a) wyrównanym zielonym kolorze ziarna

b) ziarnie wypełnionym, czego miernikiem jest waga hektolitrowa.

Stwierdzony został również pewien wpływ czynnika glebowo - klimatycznego na jakościowe cechy ziarna żyta. Krótko mówiąc wydajność mąki i pieczywa była lepsza z północno - wschodnich okręgów o ziemiach lżejszych, uboższych. Ta właściwość żyta jest zresztą oddawna znana. Nie opłaca się ono, nawet ilościowo rzecz biorąc, na glebach bogatszych, na których otrzymuje się z reguły wyższe plony pszenicy. Jeżeli jakościowo w tych ostatnich warunkach również jest słabsze, czy nie mamy dostatecznych danych po temu, by produkcję żyta umieścić u nas na właściwym miejscu oraz utrzymać ją we właściwych ramach?

Wydaje mi się, że kwestię tę należy uważać za dostatecznie dojrzałą: czas już przystąpić do organizacji całej naszej wytwórczości zbożowej, którą rozpocząć należy od żyta.

Jest to zagadnienie o podwójnym ekonomicznym znaczeniu. Polega ono na tym, by **zmniejszyć nadmiernie rozszerzony wysiew żyta** zastępując go na lepszych glebach **pszenicą**, co wpłynie bezpośrednio na podniesienie ogólnej wartości naszej produkcji zbożowej, a pośrednio może mieć wpływ nawet na utrzymanie się ceny żyta na bardziej ustabilizowanym poziomie.

PRODUKCJA PSZENICY I JEJ REJONIZACJA

Wiadomo powszechnie, iż zboże jest właściwym miernikiem zamożności kraju rolniczego oraz że pszenica posiada stały zbyt i walor na wszystkich giełdach zbożowych jako towar eksportowy.

Nie ulega również żadnej wątpliwości, iż w Polsce możemy uprawiać o wiele więcej pszenicy, niż jej mamy obecnie. Najbardziej nawet powierzchowna obserwacja naszych gruntów świadczy ponad wszelką wątpliwość, iż wiele z nich mogłoby być obsiane pszenicą, gdy tymczasem zajęte są żytem. A dotyczy to zwłaszcza województwa Lubelskiego, gdzie na bogatych lessach, rędzinach i innych odmianach gruntów mocnych, spotykamy się z żytem. Jest tu jego tak dużo, iż nie potrzeba rozporządzać danymi statystycznymi, by orzec z wszelką pewnością o bardzo znacznych możliwościach zwiększenia zasiewów pszenicy.

Zatem nie mamy tymczasem potrzeby mówić o środkach, które by pozwoliły w Polsce wogóle, a w Lubelszczyźnie w szczególności rozszerzyć uprawę pszenicy na ziemiach, niepodlegających ogólnie przyjętej definicji jako pszenne. Nawiasem mówiąc i to nie świadczy również dodatnio o stanie i rozwoju naszej kultury rolniczej. Bowiem w wielu innych krajach nie tylko zrejonizowano uprawę pszenicy, nie tylko zlokalizowano żyto do właściwych granic (ziemie lekkie i to nie wszystkie), ale drogą żmudnych zabiegów hodowlanych kreowano takie nowe odmiany pszenicy, które są zdolne wydawać dobre plony na dawnych typowych stanowiskach żytnich.

NOWE DROGI

Zasięgi uprawy żyta stopniowo maleją. — Proces ten zachodzi wszędzie, gdzie tylko można utrzymać pszenicę ozimą ze względów klimatycznych, gdzie nie panują nazbyt długie i ostre zimy. Ale i w tym kierunku — zwiększenia zimnotrwałości pszenicy — poczyniono tak duże postępy, iż nawet w krajach skandynawskich, jak Finlandia, Norwegia, nie mówiąc o Szwecji, a ostatnio w niektórych okręgach ZSRR są obecnie uprawiane pewne specjalnie przystosowane odmiany ozimej pszenicy. Równolegle ogromnie zwiększono na całym niemal świecie, a w szczególności w Skandynawii i ZSRR uprawne powierzchnie pod pszenicę jarą. W tym ostatnim kraju, wysiłki hodowców roślin doprowadziły do wyników zgoła rewelacyjnych, bo umożliwiły zbiory pszenicy jarej daleko na północy, do granic kręgu polarnego.

Tam zaś, gdzie dalszemu rozszerzaniu się uprawy pszenicy kres stawia nazbyt uboga gleba, wytknięto nowe drogi. Mam na myśli próby hodowli nowych typów roślin zbożowych, wytwarzanych przez krzyżowanie żyta i pszenicy z perzem. Dąży się w ten sposób do połączenia zimnotrwałości żyta i perzu oraz ich małych wymagań co do gleby, z wiadomymi cechami pszenicy, co w rezultacie może przynieść nowe jej typy, umożliwiające uprawę na takich gruntach i w takich warunkach klimatycznych, gdzie dotąd pszenica zwykła zawsze chybiała. **Być może nawet uda się otrzymać zboże wieloletnie.**

Jeżeli przytaczam tutaj kierunek i dążenia w omawianej dziedzinie nowej twórczości pracy naukowo - hodowlanej, to dlatego, by zilustrować i tym mocniej podkreślić zacofanie polskiego rolnictwa. Bo my jeszcze stoimy wciąż na miejscu, bo nie tylko nie rozszerzamy pszenicy kosztem żyta i zajęcia uprawą pszenicy coraz to słabszych gruntów, ale wciąż uparcie tkwimy na tym pierwotnym stopniu kultury rolnej, którego nakazem jest **produkować wszystko na własnym gospodarstwie**, jakkolwiek może to być nawet nieopłacalnym. Tak właściwie ma się w odniesieniu do bezkrytycznego uprawiania żyta na ziemiach typowo pszennych w woj. lubelskim.

Tymczasem w Wielkopolsce na gruntach zgoła przeciętnych, a według naszej definicji typowo żytnich, z dużym powodzeniem uprawia się oddawna pszenicę.

NASZE MOŻLIWOŚCI I NASZE NIEDOMAGANIA

Do jakiego stopnia możnaby produkcję pszenicy u nas rozszerzyć, najlepiej udowodniły wieloletnie doświadczenia stacji doświadczalnej w Sobieszynie. Na ziemi zgoła lekkiej, piaszczystej bielicy, uzyskiwano tam regularnie średnio dobre plony ozimej pszenicy, w niektórych latach wyższe od plonów żyta. Jeeżeli zaś przeliczyć wartość handlową jednego i drugiego zboża za wszystkie lata, efekt ekonomiczny objawia się szczególnie dodatnio: pszenica wyraźnie się opłaca nawet na podobnych słabszych ziemiach, gdy, jak to już mówiliśmy wyżej, żyto nie opłaca się na ziemiach mocnych.

Nie wynika jednak z tego bynajmniej, że teraz, zaraz, należy bezkrytycznie dążyć do przechodzenia z uprawą pszenicy na grunta wyraźnie lżejsze. Natomiast wynika z całą pewnością konieczność uporządkowania tej wytwórczości zgodnie z interesami Państwa, kraju i jego ludności, a nie z założeniami wąsko pojętej samowystarczalności jednostkowych gospodarstw.

Rozwiązanie tego zagadnienia leży w jednej i tylko w jednej płaszczyźnie: wprowadzenia rejonizacji uprawy pszenicy i wprowadzenia jej tam wszędzie, gdzie być winna z samej natury rzeczy — już choćby tylko na ziemiach typowo pszennych.

Że dotąd nie dokonaliśmy tego, istnieje niewątpliwie szereg przyczyn. Ale wszystkie jednakowo prowadzą do powyższego niepożądanego stanu rzeczy z punktu widzenia ogólnie pojętego ekonomicznego dobrobytu kraju.

Wymienię tu tylko jedną, najgłówniejszą przyczynę: za taką skłonny jestem uważać ogólnie niedostateczny poziom kultury rolnej i oświaty mniejszych warsztatów i ich właścicieli. Nie można mówić o szybkim zreformowaniu, a tym więcej rozszerzeniu uprawy takiej rośliny, która wymaga jednak starannych zabiegów, bez odpowiednich po temu warunków. Jeżeli więc do bardzo kiepsko przygotowanej roli (choćby z natury zasobnej), o bardzo słabej sile nawozowej i w dodatku na ostrą skibę, bez siewnika, ma być „wsiane" zboże, to w tych warunkach nie wolno propagować uprawy pszenicy. Jasne jest bowiem, że niepowodzenie, jakie musi wówczas nastąpić przy nieurodzaju tej ostatniej, pociągnie za sobą większą stratę dla kraju, niż zabezpieczenie samowystarczalności w wyżywieniu się tegoż rolnika, zasiewającego w opisanych warunkach żyto, choć nic więcej z siebie i swego gospodarstwa nie dającego nazewnątrz.

Dlatego też, zdaniem moim, do czasu, zanim oświata rolnicza i cała organizacja pomocy, względnie samopomocy gospodarstw małych, nie doprowadzi do zbliżenia nas do poziomu kultury zachodnio - europejskiej, musimy czynić nie małe wysiłki, by wraz z przejściem ziemi do drobnej własności, **areał dotąd zajęty pszenicą przynajmniej nie zmniejszył się.**

Stąd też staje się rzeczą niezbędną okazanie wszelkiej fachowej opieki i pomocy naszym producentom pszenicy, by możliwie prędzej wyjść zwycięsko z obecnej ciężkiej sytuacji. Dotyczy to nie tylko ogólnych środków idących w kierunku podniesienia poziomu oświaty i kultury rolniczej, ale w szczególności:

a) wzmożenia wytwórczości nasiennej i dostarczania odmian selekcyjnych pszenicy, odpowiednio dostosowanych do warunków glebowych;

b) wytknięcia zasadniczego, określonego kierunku produkcji pszenicy w woj. lubelskim;

c) ustalenia wartości (jakości) produkowanej u nas pszenicy jako towaru konsumcyjnego i handlowego;

d) pomoc w zabezpieczeniu rolnika przed stratami, jakie wynikają na skutek zniszczenia zasiewu przenicy przez nagminne choroby tej rośliny.

Niektóre z wytkniętych wyżej punktów, zwłaszcza pod b i c, wymagają bliższego uzasadnienia, jako mało znane, a zwłaszcza mało rozumiane i niedoceniane przez szerszy ogół naszych rolników.

a) UAKTYWNIĆ NASIENNICTWO!

Odnośnie pierwszego punktu — konieczności wzmożenia wytwórczości nasiennej — nie potrzeba i nie będę tu omawiał tych postu-



*) Fragment z przygotowanej do wydania książkowego pracy prof. dr Stefana Lewickiego, kierownika działu Państwowego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach, noszącej tytuł: „Rejonizacja i standaryzacja jako racjonalne podstawy dla podniesienia wytwórczości zbożowej w Polsce".

latów, które zostały już wysuwane wielokrotnie przez fachową prasę, jeszcze przed wojną. Niemniej podkreślę raz jeszcze z dużym naciskiem, iż jakiekolwiek zlekceważenie, niezaradność, brak organizacji, sprężystości i stanowczości w przeprowadzeniu podstawowych warunków i potrzeb w kierunku odrodzenia naszego nasiennictwa, będą równoznaczne z progresywnym upadkiem całej naszej wytwórczości roślinnej, w danym przypadku zbożowej. Wystarczy przecież uświadomić sobie, że tuż przed ostatnią wojną, kiedy jeszcze wszystkie nasze warsztaty pracy hodowlano - nasiennej nie były zniszczone, mieliśmy tak duży niedobór nasion oryginalnych, że nie mogły one starczyć nawet do zasiania drugim obsiewem całej uprawnej powierzchni.

Ale jednocześnie było znane i stwierdzone inne, nader smutne zjawisko, że mieliśmy nadmiar ziarna hodowlanego, kwalifikowanego, a to z powodu bardzo niskiego zapotrzebowania na to ziarno ze strony gospodarstw mniejszych.

Nie obawiamy się zatem z całą świadomością spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu, na które naraża nas dalsze trwanie podobnego stanu rzeczy, t.j. nieunikniony, katastrofalny spadek naszej produkcji. Musimy co rychlej odbudować i uaktywnić polskie nasiennictwo. Drogi ku temu są proste: bezwzględna ochrona i poparcie ze strony Państwa i społeczeństwa wszystkich placówek oryginalnej hodowli, a jednocześnie najrychlejsze przystąpienie do organizowania po gminach spółdzielni (związków branżowych) nasiennych, dla rozmnażania tam oryginałów.

Uwagi te dotyczą zarówno zapotrzebowania na ziarno nasienne pszenicy, jak też żyta, jęczmienia i owsa.

b) KIERUNKI PRODUKCJI PSZENNEJ

Inaczej nieco przedstawia się sprawa naszej ekspansji nasiennej w zakresie tej produkcji (t. j. zbożowej) nazewnątrz, możliwości szukania dróg wywozowych. Otóż, gdybyśmy nawet takim nadmiarem wywozowym rozporządzali, nie należy się łudzić, że go łatwo ulokujemy. Świetny stan i rozwój hodowli roślin we wszystkich krajach każe zgóry przewidzieć, iż trudno będzie naszej produkcji konkurować z tymi, którzy sami szukają lub będą szukać miejsca dla nadmiaru swych nasion. Nadto, ustawodawstwo w dziedzinie wwozu nasion do każdego z kulturalnych państw rolniczych zdąża przede wszystkim do jak największego ograniczenia obcego importu.

Pod tym względem tylko jedna Polska zawsze tak gościnnie otwierała swoje podwoje, zaś w okresie okupacji niemieckiej nie tylko zaśmiecono nasz rynek nasienny wielu zbędnymi „elitarnymi" nasionami i odmianami, ale uczyniono wiele by już w krótkim stosunkowo czasie naszą własną hodowlę w ogóle wyeliminować z obiegu.

Tymczasem utrudniony wwóz obcych nasion jest pierwszorzędnym czynnikiem dla podniesienia i rozwoju własnej hodowli, a niemniej jest koniecznym także po to, aby obronić swego rolnika od częstych niepowodzeń, na jakie może być narażony przez nieoględne wprowadzanie do uprawy odmian niedostatecznie sprawdzonych co do swej wartości użytkowej.

Zatem rola, jaką producenci zboża siewnego powinni u nas spełnić, a jakiej kraj może i winien od nich oczekiwać, nie tylko nie jest skończona, ale nawet dobrze nie zaczęta. Przede wszystkim bowiem należy zaopatrzyć w ziarno siewne naszych własnych rolników. Należy skończyć z zasiewami ziarnem niewiadomego pochodzenia.

Należy niezwłocznie przystąpić do organizacji gminnych spółek nasiennych, opartych na spółdzielczości twórczych i rzetelne pracujących.

Lubelskie i Kieleckie muszą być przygotowane jeszcze bardziej, niż inne okręgi, do wzmożenia swej produkcji zbożowej w ogóle, a w zakresie pszenicy w szczególności.

O drogach prowadzących do tego celu, już mówiliśmy wyżej, jest to: zredukowanie powierzchni uprawnej żyta na rzecz pszenicy na glebach dla niej odpowiednich, a co za tym idzie w drugim etapie — zrejonizowanie uprawy pszenicy. Skoro tylko to nastąpi, musimy dojść do otrzymania nadwyżek w tej produkcji. Zamiast trudnego i kosztownego dla kraju problemu ulokowania zbędnej produkcji żyta, będziemy rozporządzać towarem, który zawsze znajduje łatwy zbyt na międzynarodowych giełdach zbożowych.

Lecz tym towarem, jak wynika to z naszych poprzednich wywodów, nie będzie pszenica nasienna lecz konsumcyjna.

W każdym razie będzie znacznie pewniej i oględniej dążyć do odpowiedniego przygotowania całej organizacji naszego aparatu wytwórczego wywozowego w kierunku konsumcyjnym. Otóż już nadszedł czas najwyższy, by najszersze warstwy rolnicze dokładnie sobie uświadomiły, że pszenica jako towar konsumcyjny, musi odpowiadać pewnym wymogom i to bez względu na to, czy zostanie ona zużyta na potrzeby wewnętrzne, dla spożycia przez własną ludność czy tym więcej, ma stanąć do konkurencji, jako towar eksportowy.

W każdym razie uważam, że chwila obecna jest najzupełniej odpowiednia, aby dla dobra rozwoju polskiego rolnictwa i zdobycia dla nas pewnego gruntu dla przyszłych możliwości korzystnego eksportu, wykazać odpowiednie walory naszej pszenicy.

D. c. n.

Stefan Lewicki

Seweryn Skulski

Nie zgub się we świecie! *)

Łaszczów to gniazdeczko jaskółcze, tu take olbrzymy. Miasta olbrzymy, fabryki olrzymy. Wszystko bogate i wielkie.

Tam skromność — tu przepych. Pierwsza wędrówka po Detroit — miasto, fabryki, pociągi, dźwignie, doki, ruch uliczny, gwizd fabryk, dudniące tramwaje, ciżba ludzka, masy aut, polskie kościoły - olbrzymy, plebanie, pałace, sale, domy wypitków i rozrywek, przynęta okien wystawowych, panie elegancko ubrane. — Dopiero mi się przypomniało słowo ojca, żeby się nie zgubić we świecie.

Ja się zgubić nie chciałem. Po pierwszej wypłacie, jaką dostałem w sumie 17-stu dolarów, ojcu posłałem 5 dol., na gazetę na rok 3 dol., za dolara kupiłem sobie „Pana Tadeusza", a resztę obróciłem na mieszkanie i wikt.

Po każdej zapłacie było prawie to samo. Ubranie, odżywianie — to były dla mnie rzeczy konieczne, ale drugorzędne. Po oddaniu za kosztą podróży bratu, który już był w Ameryce, kupowałem książki i gazety. Nie było w Ameryce wydawnictwa książkowego i księgarni polskiej z książkami z Polski. Tak rok za rokiem stałem się właścicielem dużego księgozbioru wszystkich znanych pisarzy polskich i przekładów z Dostojewskiego, Conrada, Dumasa, Marksa, Sinclaira, Londona i innych.

Byłem za młody, ażeby się wdawać w znajomość z ludźmi poważnymi i uczonymi, miałem zaledwie gminną szkołę rosyjską i pocięgiel ojca w domowej szkole polskości. A rodacy w moim wieku i starsi unikali mnie, byłem nie towarzyski podług ich pojęcia. Piwa pić nie mogłem, grać w karty i bilard nie umiałem, zabaw, żeby się do spocenia wyskakać — unikałem. Czytałem, pisałem, na każdy wiec publiczny szedłem, nie należąc na razie do żadnego ugrupowania politycznego. W niedzielę brałem tramwaj i jechałem do miasta, bo w publicznej bibliotece był dział polskiej literatury. Zimą szedłem trzy razy w tygodniu do szkoły wieczornej czytać i pisać po angielsku. Po uczęszczaniu na takie kursa nie potrzebowałem tłumacza w żadnym wypadku, każdego dnia, wracając z pracy kupowałem numer gazety amerykańskiej, z której wiadomości o Polakach przekładałem do polskiej gazety za co po pewnym czasie poczęli mi płacić po 10 centów za cal druku. Poza regularną pracą aperatora młota parowego w fabryce Overland, zarabiałem pisaniem od 15 do 30 dol. miesięcznie.

W Detroit przebywałem w momencie wzajemnego zwalczania się „prusofilów" z „moskalofilami". „Mucha" Detroicka, którą wydawał Łukosic moimi piosenkami i wierszami gryzła obie strony.

Na wiecu Hausnera, który z ramienia Komitetu Obrony Narodowej przemawiał za polityką niemiecko - austriacką, byłbym dostał nożem, bo już jeden z fanatyków wydobył go zato, że na apel Hausnera: — Dawajcie dolary! — krzyknąłem — Zamknijcie kieszenie. Ale mój przyjaciel rękę mu skręcił, a nóż na podłogę wypadł.

Innym razem, gdy Jeziorkowski moskalofil wiec w celu połowu dolarów urządził na zbudowanie Polski pod berłem cara — dostałem kułakiem w nos, a okulary nogami mi podeptano za to, że byłem przeciwko jego demagogii.

Ja wierzyłem tylko w to, że ani car swoimi żołdakami, ani Niemcy o Polskę nie walczą i nie zbudują jej nam. Polskę wywalczyć może tylko Polak i Polak ją zbuduje.

Łapichłopi nie lubili mnie na równi z politykierami. Bo co knajpa, to jakieś towarzystwo akcyjne powstawało w celu uszczęśliwienia Polski, a naprawdę w celu odarcia z dolarów emigracji. Takie korporacje z okrętami na piasku, ze spółkami akcyjnymi składającymi się z ludzi, co szydła w ręku trzymać nie umieli, a szewców warszawskich mieli uczyć, jak się buty robi, cieśli i murarzy, jak się domy stawia.

Jeszcze korporacje na papierze były, a oszuści już dywidendy na cenach podnosili i dochody od nich rozsyłali, ażeby naiwnych łapać. Na miejscu w Ameryce budowali fabryki gum i różne inne szalone dochody przynoszące. Jak kto zakupił akcję za 100, to zaraz 105 oddawali jako dochód miesięczny z przedsiębiorstwa, którego jeszcze nie ma nigdy nie było i nie będzie.

Ja nie żyłem z krytyki jednego i drugiego łajdactwa. Pracowałem we fabryce, nikt mi polityki nie narzucał, jednak wywody Romana Dmowskiego nie tego w Polsce, tylko redaktora „Górnika Polskiego" w mieście Pittsburgu uznałem za słuszne, choć Gwiazdowski, profesor na uniwersytecie mechanicznym w Toledo Ohio głosił, że to bolszewik i usunął mnie ze słuchaczy niedzielnych tego uniwersytetu, bo ja znów Gwiazdowskiego, twórcę Stowarzyszenia Mechaników uważałem za demagoga, czym w całym tego słowa znaczeniu okazał się potem.

Dmowski należał do tych socjalistów, którzy wierzyli, że bezkompromisowa walka będzie rezultatem nie tylko naprawdę wolnej Polski, ale przyniesie zwycięstwo w ogóle jak Polsce, tak i innym narodom, klasie pracującej byt i wolność, że tylko tą drogą narody świata pozbędą się nienawiści rasowych i narodowych i zbliżą się do świata bez wyzysku i wojen.

Naturalnie tacy ludzie nie mieli miejsca nawet w Amerykańskiej Partii Socjalistycznej, do której różne slugusy weszły i stały się przywódcami, ażeby działać tylko ugodowo i ewolucyjnie. Po rewolucji Październikowej w państwie cara tacy ludzie jak Dmowski stworzyli Amerykańską Partię Komunistyczną.

Generalny prokurator, Palmer urządził najazd na lokale organizatorów i sekretarzy Partii Komunistycznej, co za tym idzie i na jej polską sekcję. Między innymi i ja się dostałem za kraty w demokratycznej Ameryce w mieście Utica, gdzie wówczas byłem.

Gdy nas zebrali w tym mieście: 7 Amerykanów, 3 Polaków, 4 Włochów, 2 Rosjan, 2 Ukraińców, 1 Litwina, Meksykańczyka, a nawet murzyn był jeden — poczęli nas egzaminować. Pytają mnie, czy należę do Partii Komunistycznej. — Należę. Czy wiem, że siłą chcemy rząd obalić? — Wiem. I teraz ja z kolei pytam: Czy znacie konstytucję Stanów Zjednoczonych i czy jest wam wiadomo, że w konstytucji jest ustęp, gdzie się powiada, że nawet siłą można rząd obalić, jeżeli postępuje źle a lud sobie tego rządu nie życzy.

— Tak, ten człowiek ma rację — odzywa się Durcham, redaktor dziennika miejscowego. Miał wpływy na administrację miejską i gdyby to władze lokalne nas aresztowały, bylibyśmy z miejsca wolni. Choć sam burżuj i bankier, ale zachodziła tu gra politykierska dwóch partii rządzących. Naszego aresztowania demokraci użyli w walce o żłoby przeciw republikanom. Po trzech miesiącach prokurator miejscowy także demokrata, See uznał nas za niewinnych i kazał z więzienia zwolnić.

Przez lat osiem pisałem wiersze w każdym numerze tygodniowej „Gwiazdy Polarnej" jako Seweryn. To samo w „Głosie Robotniczym", jako Pijawka i w „Trybunie Robotniczej". Kalendarz, jaki rok rocznie wydawał Polski Związek Narodowy, którego byłem członkiem, drukował moje wiersze. Do „Ameryki — Echa" jako Jantek Socha pisałem długie lata zapełniając prawie całe stronice tygodniowo. To samo wydawnictwo „Ameryki — Echa" wydało 260 stronicowe moje wiersze „Piosenki Moje". „Gwiazda Polarna" wydała moje „Śladami myśli" o 230 stronach wierszem. Ja sam wydałem 5.000 jedno wydanie wierszem. Poza tym pisałem w formie nowelek opowiadania jako „Naturalny" do „Gwiazdy Polarnej" i korespondencje i artykuliki do „Zgody" i pism innych.

Wiersze moje były nader zgryźliwe, bo u mnie nie ma wyboru czy to pan, ksiądz, chłop, robotnik — lałem, jak zasłużył. Bez różnicy, kto wyzyskiwał pracę, kieszeń i naiwność ludzką, moje pióro zawsze dość miało sadła, żeby go wlać za skórę. Nic dziwnego, że ze mnie zrobiono większego antyklerykała i bezbożnika niż nim jestem. Ale jakże można milczeć, gdy ksiądz polski przyczepia kartkę na kościele, że wstęp kosztuje 10 centów, gdy do kina na komedię kosztował tylko 5 centów, a przecież ten ksiądz Polak w kościele rzadko coś powiedział o zasadach wyznania, o Bogu i kościele, tylko o dolarach i dolarach, a czym ich miał więcej, więcej łaknął.

Jakże można było milczeć, gdy 800 kościołów w Ameryce polski chłop, polski robotnik, swoją krwawicą zabudował? Największych, najwspanialszych 800 kościołów i tyleż plebanii i tyleż prawie szkół, a to wszystko jest własnością — wrogów Polski, niemieckich biskupów. W kościołach tych jedno tylko wolno narodowi polskiemu — dawać. A ile krwi polskiej rozlało się na stopniach tych kościołów, krwi polskiej od pał policjantów w sporze z biskupem Niemcem, gdy Polakom dał księdza nie umiejącego po polsku mówić, a w dodatku polakożercę. Polacy sądzili że mają prawo zaprotestować. Biskup pokazał im prawo — precz z kościoła, bo to kościół mój, albo milczeć i dawać.

Dla przykładu wezmę jednoroczne sprawozdanie finansowe przy kościele Św. Trójcy w Utica, ażeby dać wyobrażenie jakie sprawozdania się składa narodowi polskiemu rok rocznie w 800 parafiach.

Pozostałości z roku 1929: jeden dolar i siedem centów. Dochód w roku 1930: dwadzieścia cztery tysiące. Rozchód w roku 1930: dwadzieścia cztery tysiące i 14 centów. W kasie na rok 1931 pozostaje: 93 centy.

Czasem ksiądz polsko - amerykański sarknie w pobocznej dyskusji na te warunki. Lud polski zbudował i daje wierny i posłuszny.

Ale za to wszystko nawet nie zasłużył sobie na kilku biskupów Polaków, podczas gdy Irlandczycy i Niemcy mniej zbudowali i mniej dają, a mają biskupów i głos ich aż w Watykanie jest słyszany. Publicznie kler polski godzi się, bo każdemu z osobna chodzi o tłustą parafię, o te dolary z kieszeni polskiej. Samolubstwo góruje nad interesem wiernego narodu. Księża są współwłaścicielami fabryk, bo co z dolarami będą robić. Gospodynię się wianuje rzadko kiedy, ona woli w ciepłej plebanii siedzieć i mieć do usług służącą, niż z wianem iść na kłopoty życia.

W każdej walce ludu pracującego polskiego, który się składa z chłopa i robotnika w walce całej klasy pracującej o kawałek chleba księża jako ogół zawsze idą przeciw, bo sami są kapitalistami i bronią swych grubych, wypchanych akcjami i dolarami tek.

Po przebyciu lat 25 w Ameryce powróciłem w roku 1937 do Polski, nie jako ten „Wujaszek z Ameryki" z gębą jak krasula i pełnymi kieszeniami dolarów. Paszport mój opiewał, że obywatel Stanów Zjednoczonych jadę jako korespondent prasy polsko - amerykańskiej. Żona moja także dolarów pod stanikiem nie wiozła. Została u krewniaków, a ja włóczyłem się po Polsce, nie tak jak to zwykle było, że zagranicznych korespondentów wożono od Gdyni do Liskowa i od Liskowa do gabinetów ministrów na wywiady „radosnej twórczości". Ja szedłem piechotą spod Warszawy przez Lubelszczyznę aż do Sarn i z powrotem przez Polesie do Łomżyńskiego, od Poznania do Kalisza i Kielc, ażeby widzieć, jak żyje chłop i robotnik, co mówi i jak myśli o jutrze.

Wojna moje włóczęgostwo zastała na Pomorzu. Co widziałem podczas wojny i co przeszedłem, opisałem już po części pod tytułem „Z tych dni". Dziś jestem we wiosce Karnkowo pow. Lipno woj. Pomorskie. Jestem z żoną na piętnastu morgach. Ale ciężka to gospodarka, gdy się ma konia prawie tak starego, jak jego gospodarz, krowę jedną i bez narzędzi, a budynki gołe.

Do Ameryki już nie pojadę. Tu, w Polsce Ludowej, jest dość pracy i zajęcia. Trzeba organizować, zwalczać trudności i przesądy, które są rezultatem wychowania sanacyjnego. Braki są — dezorganizacja, wiara w różne kłamliwe pogłoski, niewiara we własną siłę chłopską.

Jak mnie ojciec napominał, do dziś się nie zgubiłem. Choć mi się nie przelewa, ale tak żyję, że bimber omijam i niepotrzebne wydatki, zato prenumeruję „Chłopów", „Chłopską Gospodarkę", „Chłopską Drogę", „Trybunę Wolności", „Wolność", Nową Epokę", „Poradnik Oświatowy" „Głos Ludu", „Nowe Widnokręgi", „Krokodyla". Z Ameryki przysyłają mi „Gwiazdę Polarną" i „Głos Ludowy". Biblioteka moja liczy 500 tomów, bo drugie 500 zostawiłem w Ameryce. Niemcy zniszczyli mi z tego wszystko: tylko prawie cudem została mi „Historia Świata" Wellsa po angielsku. Razem z książkami zniszczono mi maszynę do pisania, około 1000 wierszy jeszcze niedrukowanych składanych na życzenie wydawców w Ameryce.

Gospodarz ze mnie lichy. Lubię, jak mi się za pługiem ziemia koło nóg układa, jak zboże wschodzi zasiane moją ręką, ale natura ciągnie wilka do lasu. Przepracować swoje godziny we fabryce, lecieć na zebranie, posiedzenia, czytać i pisać.

Polsce przydałbym się, ale gdzieś w metalowni czy odlewni, bo lata pracowałem jako giser i odlewacz.

Gdy pracowałem u Owerlanda, gdzie w całej fabryce było nas 15 tysięcy, a nasz oddział liczył 60 wielkich młotów, które biły przez dobę całą, aż ziemia stękała, jęczała, gdzie na migi rozmawialiśmy ze sobą, czuło się, że człowiek coś wart.

Ulubiona moja lektura w tym czasie, to:

„Chłopi Reymonta" bo jest w nich artyzm słowa i genialność układu. Czyta się i podziwia, że Reymont tak zna życie wsi.

„Historia Chłopów" Świętochowskiego, bo zawiera prawdę o niedoli, poniżeniu chłopów i winach magnaterii.

Mickiewicza wolę w jego wykładach na katedrze słowiańskiej na uniwersytecie francuskim, niż w wierszach choć „Panu Tadeuszowi" nie dorówna żadna inna nasza poezja dokładnością opisu w najmniejszych szczegółach, łowach, czy przyjęciach, podróżach i w domu.

„Faraon" Prusa, bo już w zaraniu cywilizacji w Egipcie pokazuje hipokryzję moralną.

„Krzyżacy" Sienkiewicza bo przeczuł jakie krzyżactwo będzie w roku 1939 — 1946. Jurand, to święta postać tej powieści. To męka i cierpienia długich wieków.

„Pan Balcer w Brazylii" Konopnickiej, bo pełen tęsknoty i miłości dla ziemi rodzinnej, płaczu, ale nie rozpaczy i nie nad sobą — tułaczem ale matką — ziemią polską. „Nasza szkapa" przedstawiająca krzywdę i nędzę proletariatu.

*) Patrz: S. Skulski, „Życiorys pisarza chłopskiego", „Wieś" Nr 40 (119).

Anna Kamieńska

Publicystyka społeczno - literacka

Jako echa ostatniego zjazdu Z.Z.L.P. we Wrocławiu ukazały się w prasie literackiej referaty wygłoszone na zjeździe. Referat Włodzimierza Sokorskiego drukowany w „Kuźnicy („Problem literatury", nr 3) stawia zagadnienie kontaktu pisarza współczesnego z rzeczywistością: „Żeby twórczość narodu idącego w przyszłość stała się twórczością pisarza Polski Ludowej. Żeby prawda człowieka pracy, twarda prawda, często bolesna a jakże jednocześnie wielka w walce o nową lepszą przyszłość stała się prawdą ludzi pióra. Naszym zadaniem, zadaniem działaczy Związków Zawodowych jest tworzenie takich warunków dla pisarza, żeby zobaczył siebie w tworzącym się obok niego życiu, żeby zobaczył siebie w wielkim akcie powstania Ziem Zachodnich i w wielkim akcie nowych fabryk i nowych dzieł sztuki, żeby w przeżyciach narodu zobaczył swoje przeżycia, z kolei żeby czytelnik zobaczył w jego książce samego siebie". Program podsuwany pisarzom polskim przez Sokorskiego pomimo swej niewątpliwej słuszności i postępowości jest abstrakcyjny i wydaje się w tym sformułowaniu nieco niebezpieczny dla naszej publicystyki literackiej. Nowy ton wnosi traktowanie spraw pisarza łącznie z problemami czytelniczymi. Sytuacja kulturalna klasy robotniczej, do której powinien się kierować adres współczesnej literatury polskiej jest oczywiście czymś zasadniczym dla pisarza. Natomiast wydaje się, że publicysta literacki, powinien wychodzić od stanu i warunków aktualnych pisarstwa, powinien uwzględnić konkretnie typy twórczości reprezentowane we współczesnej literaturze i zbadać ich społeczną przydatność. Tylko wtedy porusza się rzeczywistość. Tylko taka analiza społeczno-literacka byłaby dostateczną i praktyczną podstawą postulatów polityka kulturalnego wobec literatury.

W myśl ogólnych wskazań Sokorskiego Zdzisław Hierowski omawia sprawę znaczenia pisarza, aby był on działaczem kulturalnym.

Pisarz ma zadanie wyższe: produkować treści umysłowe do upowszechnienia. „Pisarze nasi w znacznej, olbrzymiej części żyją w duchowej izolacji od rzeczywistości tu istniejącej"... Nawoływanie Hierowskiego do zajęcia się w literaturze problematyką Ziem Odzyskanych wynika z przekonania autora, że pisarz jest powołany do „kształtowania opinii społecznej, że rola pisarza jest rolą wychowawczą".

Wreszcie głos Jana Brzechwy w sprawie solidarności zawodowej pisarzy („Nowiny Literackie" nr. 2 (43), uwypukla dyskusję od strony twórców literatury. Tu interesuje nas nowe wyjaśnienie faktu społecznego rozczarowania co do literatury współczesnej, która rzekomo nie zaspokoiła głodu czytelnictwa. Winę przypisuje Brzechwa między innymi samym pisarzom, którzy przez waśnię wewnętrzne obniżają prestiż literatury. Trudno się zgodzić z tą diagnozą błyskotliwego referatu. Nigdy w Polsce nie mieliśmy nadmiaru szerokich dyskusji nad problemami literatury. Traktowanie rzeczowych dyskusji, jakie toczą się ciągle zbyt leniwie w prasie literackiej, jako gorszącego sporu w rodzinie, jest niewątpliwym błędem i przynosi szkodę samemu rodzajowi literackiej publicystyki, tak u nas, jak widać z przykładów, skłonnej do ogólników i symplifikacjii.

Problem sztuki dla mas omawia Zygmunt Mycielski w artykule „Twórcy a masy" („Nowiny Literackie" nr. 4) w zastosowaniu do muzyki wprawdzie, lecz snując analogię do literatury, malarstwa i twórczości naukowej. Artykuł Mycielskiego jest jeszcze jednym komentarzem do mowy wrocławskiej Prezydenta Bieruta na temat upowszechnienia kultury Autor twierdzi, że Polska wskutek anormalności swej historii karmiącej zamiast kultury bohaterszczyzną narodową nie zdołała wytworzyć nigdy twórczej atmosfery kulturalnej. Dopiero emancypacja klas ludowych stwarza warunki dla powstania tej atmosfery. Przed twórcami staje ważne zadanie stworzenia nowej sztuki, która zastąpiłaby ginący folklor i pozwoliła masom ominąć tandetę stylu drobnomieszczańskiego. Słusznie podkreśla Mycielski biorąc za przykład kulturę Związku Radzieckiego, że upowszechnienie sztuki wymaga przede wszystkim stworzenia potężnego aparatu instytucji materialnych i rzetelnej wiedzy naukowej o sytuacji kulturalnej mas. Mimo wątpliwego wstępu historiozoficznego, artykuł Mycielskiego wnosi pewne nowe rzeczy do ciągle ogólnikowej dyskusji o tzw. upowszechnieniu kultury.

„Dziś i Jutro" (nr 4) publikuje nawiązując do dyskusji o planowaniu kulturalnym rozprawę poległego w Powstaniu Warszawskim Włodzimierza Pietrzaka. Rozprawa napisana została w 1943 roku i dźwiga na sobie cały chaos młodopolskiej jeszcze teorii kultury, odziedziczony po Brzozowskim i Irzykowskim. Pietrzak neguje możliwość dydaktyzmu w literaturze. „Twórczość literacka, artystyczna nie jest twórczością służebną. Dydaktyzm gotów jest za pośpiech płacić pewną cenę: rezygnuje z głębi artystycznego doznania". Literatura tzw. proletariacka — twierdzi Pietrzak — rezygnuje w ogóle ze sztuki i staje się narzędziem politycznym operującym artystycznymi fałszami. Wywody Pietrzaka zdążają poprzez gąszcz zawiłego stylu publicystycznego do sformułowania podstawy ideowo filozoficznej, która wyjaśnia wsteczny charakter tez Pietrzaka w stosunku do tych, jakie przewijają się w dyskusji o demokratyzacji kultury w cytowanych już artykułach. „Inteligencja stoi przed koniecznością społecznej abdykacji w tym sensie, że musi podzielić się swymi funkcjami kierowniczymi z nowymi warstwami społecznymi, z chłopami i robotnikami" — pisze Pietrzak. Ratunek inteligencji widzi on w zrozumieniu i przyjęciu z rezygnacją faktu, że „życie polega(!) w ogóle na ścieraniu się kontrastów (romantycy nazywali je demiurgami zła i dobra), są to po prostu opozycje przyrody i kultury", tworzy zasadniczy konflikt jednostki i zbiorowiska wolności i przymusu społecznego. Rozprawa Lukacsa o powieści widzi siłę napędową kultury w walce klas, tu została ona przeniesiona na grunt w konsekwencji psychologiczny i metafizyczny (poszukiwanie Boga jako sens dziejów). „Dziś i Jutro" drukując rozprawę Pietrzaka nie przyczynia się do posunięcia naprzód dyskusji o planowaniu kulturalnym — jak sądzi. Wprowadza jedynie nieco zamętu i intelektualnych anachronizmów.

Z pism literackich „Odrodzenie" poświęca najwięcej miejsca publicystyce literackiej dotyczącej zagranicy. Spełnia w ten sposób ważną rolę kulturalną. Skłonności do izolacjonizmu kulturalnego wynikają bowiem ze zwykłej ignorancji i braku rzetelnej informacji. Helsztyński pisze w nr. 2 o literaturze amerykańskiej (Thomas Wolfe). Gogłuska w tymże numerze o życiu literackim we Francji, Kruczewski w reportażu o Związku Radzieckim (nr. 3) poświęca ciekawy ustęp życiu literackiemu. Wreszcie w nr. 4 publikuje „Odrodzenie" przemówienie Stefana Wierblowskiego na II Generalnej Konferencji UNESCO. Przedstawiciel Polski przeprowadza surową krytykę dotychczasowej rocznej działalności UNESCO. „Narody, które przeżyły grozę wojny — mówi Wierbłowski — wiązały z UNESCO nadzieję, że Organizacja ta za swoje główne zadanie uzna troskę o wyrównanie strat kulturalnych i odbudowę kulturalną tych krajów. Nadzieje te okazały się płonne. I dlatego Delegacja Polski wstrzymała się od głosowania nad Konstytucją UNESCO i zgłosiła ostry protest przeciwko pomijaniu sprawy pomocy". Bezkompromisowe wystąpienie kończy delegat Polski propozycją uchwalenia apelu do wszystkich pracowników kultury na świecie: „Pracownicy nauki i kultury zebrani w Mexico City, wzywają swych kolegów, wychowawców, uczonych, artystów, pisarzy i dziennikarzy całego świata, aby wszelkimi środkami, z całą pomocą przeciwstawiali się podżegaczom wojennym i bronili pokoju".

Zadanie, jakie niewątpliwie słuszny i pilny ten apel stawia przed pisarzami całego świata jako współtwórcami kultury dyskryminuje dostatecznie w chwili obecnej niestosowność postawy „Dziś i Jutro" legitymującej się tzw. „dogłębnością myśli" lub obroną „czystego artyzmu".

*) We „Wsi" nr 4, problemem czytelnictwa zajmuje się Z. Skwarczyński „Pisarze poza kręgiem czytelników".



STO LAT TEMU 1848 – 1948

POD REDAKCJĄ DR. WITOLDA ŁUKASZEWICZA

Artykułem Heltmana otwieramy publikację cyklu materiałów historycznych odnoszących się do „Wiosny Ludów".

Mają one zobrazować tendencje społeczne i tło na jakim wystąpiły właściwe działania rewolucyjne w r. 1848. Interesują nas — rzecz prosta — głównie wysiłki demokratycznej emigracji polskiej od r. 1832, mające na celu odzyskanie wolności przez rewolucję społeczną w Polsce.

Redakcja

Wiktor Heltman

KILKA SŁÓW DO NASZYCH HRABICZÓW *)

Wiktor Heltman (1796 — 1874), czołowy działacz obozu demokratycznego podczas Wielkiej Emigracji, był głównym ideologiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego w latach 1832 — 1862, pisywał artykuły programowe do „Demokraty Polskiego", „Przeglądu Dziejów Polskich", „Noworocznika Demokratycznego" i innych pism. Spod jego pióra wyszedł słynny Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego w r. 1836. Heltman był zagorzałym przeciwnikiem szlachty, którą chciał całkowicie usunąć od wpływu na sprawy publiczne w przyszłej Polsce. Głosił on hasła Polski Ludowej, republikańskiej i demokratycznej. Naczelną dewizą w działalności emigracyjnej i krajowej Wiktora Heltmana, szczególnie w latach 1836 — —1848, było główne hasło Manifestu: „Wszystko dla ludu, wszystko przez lud". Wpływ Heltmana na emigrację i na kraj był olbrzymi. Jako pełnomocnik naczelnej władzy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego t. zw. Centralizacji kierował Heltman przygotowaniami do powstań w latach 1846 — 1848. Heltman zasiadał w Centralizacji przez lat 11. Artykułem niniejszym otwieramy cykl jego wypowiedzi o roli szlachty i chłopów w przyszłej Polsce demokracji ludowej.

*Ś. p. Lelewel, rozmawiając niegdyś z Lafayettem o arystokracji naszej, na zapytanie: skąd macie u siebie tytuły hrabiów? odpowiedział: „Z żalem wyznać muszę, że to są kwiaty na grobie matki naszej zrywane. Z upadkiem Polski znikła moc jej praw, a wtedy ci, których dumie stały na przeszkodzie ojczyste ustawy, poszli żebrać u obcych o tytuły feudalne" **).*

I my z żalem widzimy w tej oto okropnej chwili, po nowym ojczyzny upadku, na nowym zakrwawionym jej grobie, owe kwiaty na nowo rozkwitające, widzimy jak młodzież nasza, urągając pamięci praojców swoich, co z dumą cudzoziemskie odrzucali zaszczyty, obnosi po stolicach Europy błyskotki na grobie ojczyzny u nieprzyjaciół jej kupione.

Wszakże — jesteśmy wyrozumiali. Wiemy, że po szkołach i uniwersytetach pruskich, austriackich, moskiewskich, młodzieńcy nasi nie mogli się dowiedzieć, jak Polska, kiedy jeszcze była Polską, narodem wolnym, niepodległym, traktowała tych, co odwieczne, kardynalne jej prawo: równość obywatelską nadwerężać ośmielali się, wiemy, że za granicą nie mogli się również o tem dowiedzieć, ani od emigracji, której starannie unikają, ani usłyszeć po hotelach, kawiarniach, domach rozpusty i w towarzystwie podobnych sobie cudzoziemców, jak światło wieku ocenia te szczątki średnio-wiekowej głupoty.

Wiemy o tem. Dlatego chcemy tu na chwilę zastąpić osieroconą w kraju katedrę, odbyć lekcję na korzyść hrabiczów naszych. Polacy, chcemy przemówić w imię Polski, do Polaków, przypomnieć im, że ta wspólna nam ojczyzna o wiele wieków wyprzedziła dzisiejszą cywilizację, opierając obywatelstwo swoje na wielkim prawie równości.

Nie brakowało wszakże takich, co radziby byli raz uzyskaną dostojność na potomstwo swoje, wzorem cudzoziemskim, przelać, urząd czasowy na dziedziczny zmienić, oddzielny, wyższy stan, jak to było gdzie indziej, stworzyć. Usiłowania ich spełzły wszakże na niczym. Musieli poprzestać na przekazywaniu w puściźnie dzieciom swoim próżnego tytułu. Zjawili się więc hrabicze...

Rząd austriacki pospieszył z ogłoszeniem dekretu uznającego hrabią i baronem każdego szlachcica, któryby dowiódł, że jeden z przodków jego piastował urząd prezydenta sądowego, zakazując tych tytułów ostrymi karami bez uzyskania na nie patentu cesarskiego. Dodano jakby nawiasem, iż koszta patentu wynosić będą 6000 reńskich. Każdy lepszy szlachcic łatwo mógł znaleźć między przodkami swoimi jakiego prezesa sądu, trudniej było o 24.000 zł. pol. Mimo to szereg hrabiów cesarstwa rzymskiego z tego czasu jest nie mały. Znanych nam wyliczamy: Baworowski z 1779 roku, Potocki (pilawa) 1780, Kossakowski (korwin) i Koziebrodzki 1781, Krukowiecki i Bąkowski (ryś) 1782, Drohojowski (korczak), Galejewski, Gołuchowski, Konarski (jaksza), Lubieniecki, Mniszek, Borch, Zamoyski (jellita) 1783, Ostrowski (rawicz) 1784, Działyński i Łoś (dąbrowa) 1786, Dieduszycki, Lanckoroński, Stadnicki, Poletyło, Rej (wersowicz), Aleksandrowicz między 1780 a 1790 r.

Król pruski nie pozostał w tyle. Otrzymali tytuły hrabiów: Sierakowski (ogończyk) 1775, Potulicki 1780, Grabowski i Grudziński 1786, Skórzewski i Gurowski (wczele) 1787.

Po ostatnim rozbiorze kraju już nie było nawet wstydzić się przed kim; rzucono się z nowym zapałem.

Zostali hrabiami austriackimi: Rusocki, Ledóchowski (szaława), Małachowski (nałęcz), pierwsza gałęź 1800, druga 1804, Borkowski Dunin 1818, Uruski 1844 Badeni, Karnicki,, Ryszczewski 1845.

Prusy liczniejszego dostarczyły kontyngientu: Mielżyński, Szoldrski (łodzia), Wollowicz (gozdawa), Brzostowski (strzemię), Lubieński (pomian), Mikorski i Jundził 1798, Wojna 1800, Potworowski, Mycielski, (dołęga), Kwilecki, Szembek 1816, Dąbrowski (godzięba) 1819, Garczyński 1839, Raczyński (nałęcz) 1824, Żółtowski 1840, Sumiński i Kręski 1843, Piwnicki 1844, Poniński (łodzia), Węsierski, Bniński i Radoliński od 1800 roku i ostatni najświeższy Taczanowski 1854, który w dodatku wyrobił sobie jeszcze ordynację, dla uwiecznienia... moglibyśmy na mocy konstytucji 1673 roku powiedzieć — infamii swojej!

Do moskiewskich hrabiów należą: Hauke 182..., Walewski (kolonna) 183..., Branicki 1837, Potoccy 1840 i 1853, Jezierski 184... roku.

Napoleon mianował tylko hrabią Wincentego Krasińskiego 1811 roku. Mamy także z łaski papieża hrabiego Cieszkowskiego 184... roku.

Są jeszcze hrabiowie tak zwani de facto.

Jest nadto kategoria uznanych: Iliński, Plater de Broel, Rzewuski (krzywda), Siedlnicki (odrowąż), Skarbek (abdank), Sobolewski, Starzeński, Ussarzewski, Wielopolski (starykoń), Wodzicki, Zyberg, Wyszling (koło).

Nie wiemy co to są ci panowie de facto i uznani. Opowiadanie Lelewela może pochodzenie niektórych przynajmniej wyjaśni..

Opowiada on Lafayettowi: „iż kasztelan Grzymała, który był w komisji niekonstytucyjnej do sprawdzania niekonstytucyjnych tytułów honorowych, mówił mu, że niektóre osoby słynące z hrabiostwa, nie miały na nie innych dowodów, prócz biletów króla saskiego i pruskiego lub Napoleona, na których przez omyłkę lub przez niewiadomość napisano na kopercie: „à monsieur le comte"... Gdy na bilecie, czy pergaminie da monarcha komu tytuł hrabiego; będzie hrabią. Tak rozumowano i na tej zasadzie senat wydawał patentów wiele. Senat lepsze jeszcze powyprawiał facecje, bo nie tylko cudzoziemskie hrabiostwa tym sposobem tworzył ale krajowe wymyślił. Różne domy już cokolwiek w dawniejszych czasach słynące, albo stare familijne szpargały posiadając, znajdowały wsie swego nazwiska, których przedwieczny właściciel pisał się de"... Osądzono, że kiedy przodek był hrabią, to i potomek nim być może. Nie mówię, że wywód był trudny i niepodobny; bo wieś z rąk do rąk przechodziła, a zatem ten pan „de"... bywa całe innego domu. Na to jeszcze nie baczono; że w tych starych szpargałach wyraz comes nic innego nie znaczy tylko pan, pan urzędnik, pan senator. Tak tedy, że dzisiejszym terminem Jaśniewielmożeństwo osobiste i chwilowe, w paręset lat zamienione zostało w dziedziczne hrabstwo.

Oto i wszystko, co wam, młodzi hrabicze, powiedzieć miałem.

„Dzisiejsza ludzkość, jak ktoś powiedział, zrzuca już ostatnią szatę zapleśniałej przeszłości", a wy Polacy, stroicie się w tę szatę zapleśniałą, szatę, którą Polska dzieciom swoim nosić zakazała, wtenczas jeszcze, kiedy ją cała nosiła Europa.

*) Umieszczone w „Głosie Wolnym", Nr. 76, rok 1865.

**) Polska, z 16 maja 1831, wydawana w Warszawie przez Jana Nepomucena Janowskiego.

FAKTY I ZDANIA

Problemy krytyki

Jan Kott odpowiadając na głosy dyskusyjne w sprawie dokonanej przez siebie interpretacji „Lalki" Prusa przedłuża postawiony z okazji rocznic ubiegłego roku problem pozytywizmu. Kott postawił sobie zadanie wyjaśnienia nie tyle samego utworu literackiego, ile zbadania na przykładzie powieści Prusa rzeczywistości społecznej i w konsekwencji — ideologicznej epoki polskiego pozytywizmu różniącego się znacznie od pozytywizmu zachodnio - europejskiego. Dla badania tego punktem wyjścia staje się wiedza socjologiczna o epoce. Utwór literacki jest czymś wtórnym, jest **zapisem ideologicznym sprzeczności i dążeń grupy**, do której pisarz należy. W wypadku z „Lalką" tylko „wielki realizm" Prusa byłby gwarancją, że zapis został wykonany bez fałszu. Kott skarży się na trudności współczesnego historyka literatury, który w braku dokładnych gotowych badań społeczno-ekonomicznych musi w swej nowatorskiej pracy puścić się na wody hipotez i dyskusji. Autor broni swej metody i charakteryzuje ją w formie dowcipnej metafory. „Zarzucają mi, że zobaczyłem w „Lalce" cały wiek dziewiętnasty, szary cylinder Wokulskiego i łódzkie perkaliki, koleje imperializmu, emancypantki i endeków, socjalistów i kamienicę czynszową. Piję herbatę z filiżanki, na której granatowy pas otoczony jest dwukrotnie kunsztowną złotą koronką, inkrustowaną w porcelanie. Jest to typowy „Stary Berlin". Chciałbym z uroczych, sentymentalnych, pękatych dzbanków do mleka... odtworzyć życie mieszczanina niemieckiego sprzed stu laty, który podziwiał Schillera, zachwycał się Bachem, toczył długie rozmowy o naturze bytu prawa i obowiązku, a za szczyt rewolucyjnych haseł uznał dezyderat, uchwalony w roku 1848 przez Kongres Rzemieślników we Frankfurcie: „człowiek, który zakłada rodzinę, musi udowodnić, że ją potrafi wyżywić". Podziwiałbym historyka sztuki, który w serwisie do herbaty dostrzega portret niemieckiego filistra. I wydaje mi się że nie ma piękniejszego zadania dla krytyka nad pokazanie w klasycznych dziełach literatury całego osadu historii, całej epoki, która zastygła na kartach książki".

„Kuźnica" walcząc o nowy typ krytyki literackiej i historii literatury prezentuje przykład marksistowskiej teorii literatury w postaci rozprawy Georga Lukacsa w tłumaczeniu Jana Kotta: „Powieść jako mieszczańska epopeja". Węgierski, krytyk marksistowski widzi w powieści formę powstałą z eposu antycznego na gruncie mieszczańskim, na tle walki narastającego kapitalizmu z feudalizmem. Powieść mieszczańska jest odbiciem walki klas. Typowość warunków i charakterów jest zasadniczą cechą „wielkiego realizmu", Lukacs przeprowadza historyczną analizę rozwoju powieści dochodząc do procesu jej rozpadu w wyniku przenikania treści subjektywnych, lirycznych będących wyrazem protestu „indywidualności ludzkiej przeciwko okowom życia materialnego". Proces ten sięga zresztą głęboko w historię literatury. Zaczyna go ciąg literatury od Rousseau'a i Goethego.

Z ważniejszych pozycji krytycznych dających materiał do scharakteryzowania nie postulatów, a praktyki krytycznej naszych czasopism zanotować należy artykuł Ryszarda Matuszewskiego w nr 1 — 2 „Kuźnicy" — „Przed Mystkowicami, była Grzmiąca". Krytyk, co charakterystyczne dla trudności współczesnych badań literackich, usiłuje pogodzić dwie postawy wobec dzieła — literackiego: odczytać jego treść ideologiczną oczywiście według zajmowanego przez siebie praktycznie stanowiska ideologicznego i ocenić walor artystyczny dzieła przy pomocy środków ściśle formalistycznych. Trudność krytyki polegałaby tu na wzajemnym uwarunkowaniu obu krytycznych stanowisk. Ciekawe i słuszne historycznie zestawienie powieści Kowalskiego „W Grzmiącej" z nową powieścią Gałaja „Mystkowice wioska mała" szczególnie uwypukla bezradność krytyki wobec utworu, w którym jak w powieści Gałaja, słuszna, polityczna postawa autora nie idzie w parze z trafnością formalną, konstrukcyjną powieści. I ten problem zresztą wyjaśnia Lukacs pokazując konieczność historyczną rozpadu formy powieściowej.

Literatura współczesna o tematyce wojennej nie znalazła jeszcze syntetycznego ujęcia krytycznego. W nr 4 „Nowin Literackich" Wojciech Natanson w rodzaju felietonu literackiego broni tematyki wojennej przed zarzutem, że nie odpowiada, ona potrzebie społecznej. Natanson widzi moralny obowiązek współczesnych pisarzy w podejmowaniu tych problemów, jakie postawiła przed ludźmi wojna Natanson dostrzega przede wszystkim problemy filozoficzne i moralne wojny: problem śmierci, heroizmu, przemocy moralnej. Przytacza szereg powieści i nowel, w których najpełniej, jego zdaniem morale wojny zostało pokazane. Wymienia tu Jerzego Pytlakowskiego, Andrzejewskiego, Nałkowską, Jarochowską, Konstantego Mariana Górskiego. Idąc torem sugestii Natansona zainteresuje nas w „Tygodniku Warszawskim" nr 2 artykuł Stefana Lichańskiego „Spowiedź liberała". Lichański podobnie jak Natanson ocenia zbiór nowel wojennych Sandauera według kryteriów moralnych, ściśle: według kryteriów moralności katolickiej. Kryteria, te które nie mogą być uznane za naukowe nadają krytyce Lichańskiego, ton dowolnej impresji. Krytyk staje tu w roli cenzora, który nim dopuści współwyznawców do lektury czuje się w obowiązku ostrzec ich i objaśnić, jak wygląda ideologia dzieła z punktu widzenia kościoła katolickiego. Dzieło Sandauera choć ocenione wysoko pod względem artystycznym zostało potępione przez krytyka za laicką moralność pisarza. „Zatraca się podstawowa zasada jej jednolitości: humanistyczna świadomość bytu jednostkowego transcendentnego w stosunku do otaczającego świata i do każdej możliwej relacji z tym światem. Zniszczony zostaje tu walor metafizyczny pojęcia osoby i wskutek tego rozpływa się ona niemal upodabnia się do czegoś tak hipostatycznego jak „homo oeconomicus" ekonomistów czy „osobowość twórcza" badaczy literatury"... Jeśli zdania te coś znaczą, świadczą one niewątpliwie o poważnym kryzysie naszej krytyki literackiej zwłaszcza w obozie katolickim, na której rozległych i nieprzeoranych przestrzeniach najważniejszym wydaje się problem „metafizycznego pojęcia osoby."

W zastosowaniu do poezji trudności współczesnej krytyki występują na jaw z jeszcze większą siłą. Czesław Miłosz pisze w „Odrodzeniu" (nr 4) o poezji Iwaszkiewicz. Jego wdzięczna gawęda literacka opiera się na założeniu, że konwenans literacki jest treścią i źródłem poezji. Iwaszkiewicz odświeża konwenans poetycki szlachetnego gatunku i wieku i dlatego podoba się koledze — poecie. W „Kuźnicy" (nr 5) R. Matuszewski omawia „Poezje Wybrane" Mieczysława Jastruna. Poezję Jastruna określa dość ogólnie jako humanistyczną w treści widząc w niej „połączenie wewnętrznej siły i zewnętrznej doskonałości poetyckiego rzemiosła". Wysnucie genealogii poetyckiej Jastruna okazuje się rzeczą skomplikowaną, a scharakteryzowanie — trudną. „Liryka czysta" wydaje się dziś zbyt wieloznacznym określeniem. Ostrożna i dobierająca słów krytyka poezji Jastruna zasługuje jednak na uznanie wobec takich naprzykład lekkomyślnych dytyrambów, jakie w „Tygodniku Powszechnym" (nr 1) drukuje Stanisław Lem o Krzysztofie Baczyńskim. Wszystko jasne i proste. „Mówią Wam czasem publicyści, a nawet krytycy o jakimś kryzysie liryki, o splątanych drogach, trudnościach, o zmierzchu poezji i o nieopłakiwanym niemal przez nikogo zgonie epiki. Nie wierzcie fałszywym prorokom. Nie ma granicy poezji, jest tylko granica talentów. Jeśli zjawi się ktoś wielki, poznacie go po głosie." Boże broń od hurra — poezji, ale o wiele bardziej od tego typu hurra — krytyki.

Anna Kamieńska

Dwie uchwały

W dniach 17 i 18 kwietnia 1946 roku obradując w przede dniu nadchodzących wyborów do Sejmu Ustawodawczego, ogłosił Zarząd Główny Z.M.W.R.P. „Wici" uchwałę, w której można było czytać między innymi: „Zarząd Główny Z.M.W.R.P. „Wici" przyjmuje do zatwierdzającej wiadomości stanowisko Prezydium, wyrażające się w mocnym postanowieniu przestrzegania zasad statutu, deklaracji ideowo - programowej, oraz uchwał Walnego Zjazdu, w szczególności ideowej i organizacyjnej niezależności Związku i zachowania wychowawczego charakteru Związku niezależnie od wszelkich wahań koniunktury politycznej".

Wspominając o bratobójczych walkach prowadzonych przez N.S.Z. i W. i N., stwierdza uchwałą Zarządu, że można ich uniknąć „jedynie poprzez wielki, na miarę trudności zakrojony wysiłek twórczy, poprzez wychowanie w umiłowaniu prawdy, wielkich idei narodowych i ogólnoludzkich, oraz nieustępliwą walkę ideową i organizacyjną o prawdziwie demokratyczny kształt narodowego życia"...

„Prawdziwie demokratyczny kształt narodowego życia", chciały osiągnąć tamte „Wici" przez utrzymanie Związku zdala od „gorszących rozgrywek politycznych" a właściwie w izolacji od reszty społeczno - politycznego ruchu młodzieży demokratycznej.

Dziś stoją „Wici" w przededniu innego ważnego wydarzenia, którym niewątpliwie będzie zapowiedziany już zjazd ideologiczny. Poprzedzająca go uchwała Zarządu Głównego zupełnie już inna, od cytowanej poprzednio, stwierdza między innymi: „że rozwój sytuacji międzynarodowej doprowadził do wytworzenia się dwóch przeciwstawnych sobie obozów: obozu światowego, imperialistycznego kapitalizmu z jednej strony i obozu demokracji walczącej o trwały pokój z drugiej strony. Miejsce narodu polskiego, ruchu ludowego i Związku Młodzieży Wiejskiej R. P. „Wici" jest w obozie demokracji".

I dalej: „W obliczu historycznych zadań, jakie przed warstwą chłopską stanęły w ustroju demokracji ludowej, Zarząd Główny Z.M.W.R.P. „Wici" wzywa chłopskie partie polityczne do zjednoczenia się w jednym stronnictwie".

Zarząd Główny Z.M.W.R.P. „Wici" stwierdza z zadowoleniem fakt pogłębiającej się współpracy czterech organizacji młodzieżowych w oparciu o zawartą w październiku ub. roku umowę o współpracy. Zarząd Główny Z.M.W.R.P. „Wici" wyraża przekonanie, że rzetelne zbliżenie się młodzieży współpracujących ze sobą organizacji stworzy warunki zjednoczenia się młodzieży polskiej.

Druga uchwała Zarządu Głównego przesu[illegible] „Wici" na pozycje [illegible] społeczno - politycznych, walczących o polską demokrację. Jeżeli dodamy, że lektura pism wiciowych dostarcza wielu dowodów konkretnej pracy zespołów wiciowych w terenie, współpracujących z resztą młodzieży demokratycznej — perspektywa konferencji ideologicznej „Wici" nastraja optymistycznie.

Piotr Pigwa.

Autostrada ducha

„W wędrówce po tajemniczych drogach labiryntu duchowego pomocną jest intuicja. Jest to owa nić Ariadny użyczająca się każdemu, kto się wczuje i wmyśli w głębiny ducha ludzkiego. Nić oficjalnej psychologii badającej umysłowość od progu świadomości nie wystarczy na ten cel". Takimi dokładnie słowami zaczyna się 11 rozdział pracy Zygmunta Wasilewskiego o „Elementach psychiki narodowej", drukowanej w „Dziś i Jutro". Cytowany przeze mnie wstęp zapowiada już bardzo wiele. Ale następne dopiero zdania wprowadzają nas w stan ekstazy, pozwalającej ująć i zjednoczyć się z „głębinami życia duchowego". Jest to jednak nie tylko rewelacja spirytualna lecz także olśnienie dla naszego ograniczonego rozumu. „Przez świat duchowy jednostki bowiem i narodu przechodzi linia magistralna. A ta główna autostrada ducha łączy bieguny metafizyczne świata: Początku i końca".

Proponuję obok autostrady wybudowanie kolejki podziemnej!.

Lech Budrecki.

Naśladownictwo prawnie zastrzeżone

Literatura dla dzieci doczekała się nareszcie poważniejszego zainteresowania, jak informuje recenzja Krystyny Kuliczkowskiej w 4 (165) numerze „Odrodzenia", omawiająca „Antologię polskiej literatury dziecięcej" opracowanej przez Irenę Skowronkównę. Antologia, która między innymi chce „pomóc w celowym doborze książek dla tworzących się bibliotek" i „zgodnie z tymi zamierzeniami zawiera wybór tylko takich tekstów od Jachowicza do Brzechwy, które mogą być z pożytkiem zastosowane w chwili obecnej, a więc najmniej przestarzałych i najbardziej wartościowych z punktu widzenia dzisiejszej pedagogiki, psychologii i estetyki", powinna ukazać się już dawno. Będzie to nie tylko lektura pomocnicza i orientująca dla nauczycieli czy wychowawców. Dotrzeć powinna także do rąk rodziców, którzy popełniają często kardynalny błąd — chcąc zrobić przyjemność dziecku nową książką oceniają w księgarni jej walory najczęściej tylko od strony zewnętrznej, dekoracyjnej. Barwna, bogato ilustrowana książka zachęca — tekst jej rzadko bywa kontrolowany. Orientacja w powodzi przypadkowych często pisarzy dla dzieci jest niesłychanie trudna. Poza Brzechwą, Kownacką, Krzemieniecką i kilku innymi, nazwisk się prawie nie zna. Nic dziwnego, że zdarzają się przykre niespodzianki.

Antologia literatury dziecięcej będzie nareszcie pewnym drogowskazem. Ale kto wie, czy nie warto by stworzyć równocześnie innej antologii: Antologii literatury zakazanej dla dzieci. Byłoby to wyraźne ostrzeżenie pod adresem wydawców, wymierzone przeciw „tendencjom destrukcyjnym, opartym na kasowości i dobrej koniunkturze wydawniczej".

Oto kilka utworów przykładowych dla zachęty, które powinny być wymienione w owej antologii:

Olga Jaro — O Małgosi gosposi i Zazulce proszulce (Toruń, Pomorski Instytut Wydawniczy).

„Była sobie Małgosia doskonała gosposia
co na wszystkim się znała, prała, gotowała,
i sukienki szyła, naprawiała trzewiczki".

Jednym słowem, genialne dziecko. Małgosia cierpi, patrząc jak kłóci się pies z kotem. Zazulka lata do nieba po kromeczkę chleba (i przynosi ją, ale dlaczego, dla kogo i po co, o tym nic nie wiadomo). Małgosia przez Zazulkę wysyła petycję do nieba, by Bozia naprawił stosunki panujące na ziemi. Zazulka przynosi z nieba autentyczny list w którym Bozia napisał:

„Nie martw się o Mruczusia, nie martw się o Czarusia,
to nic, że się nie lubią, że się czasem poczubią.
Wszak przyjdzie znów chwila potem,
że w zgodzie żyć będzie Pies z Kotem.
Boć i ludzie dziecino, w niezgodzie czasem żyją,
wojny z sobą prowadzą, potem się znów uładzą".

Znakomity obraz sielskiej rzeczywistości, w której wojny są akurat tak mało ważne jak kłótnie psów i kotów. Jest to normalne, niegroźne zjawisko, urozmaicające monotonię życia.

Następna pozycja: Aleksander Baumgardten — Lisek Matysek i jego przygody. (Katowice, Wyd. Michał Kowalski).

Na 27 stronicach rozwlekle i nudnie lis opowiada kurom bajkę o konferencji pokojowej zwierząt po to, by otumanione kury zlazły z wyżyn stogu siana i pozwoliły się zjeść.

„Nie będzie więcej wojny, dość krwawego znoju.
Nie będzie już pies straszył kota, ni kot na wróble polował,
a nawet człowiek, — najgorsza istota,
stanie się dobry, — jak krowa".

Budzić taką niechęć do gatunku, który się reprezentuje? Eee, trochę nieładnie. A sprawa konferencji pokojowej? Dzieci wiedzą, że i ludzie urządzają podobne imprezy. Czy muszą wychowywać się na przykładach podkopujących wiarę we wszelkie konferencje pokojowej natury?

I jeszcze jeden przykład: Lena Dunikowska — Święty Mikołaj (Kraków, Wyd. „Polonia"). Historyjka o tym

„Jak Święty Mikołaj w noc taką grudniową
wędruje po świecie z murzynkiem-niemową".

Dlaczego niemową na litość? Czy nie ma już innych rymów do nocy grudniowej? A może to potrzebne dla koncepcji artystycznej autorki, która z murzynka stwarza czarnego robotnika. Bo oto obrazek: Mikołaj paradnie i dumnie wjeżdża do miasta na białym koniu (zupełnie jak...), a za nim biegnie czarne murzyniątko z olbrzymim workiem na plecach. Dość wymowne, ale przydałby się komentarz: św. Mikołaj z Ameryki.

A oto słowa tekstu:

(o dzieciach)
„Uradzili, uszeptali,
by w łóżeczko szyćko iść
i o świętym błogo śnić".

(o Mikołaju)
„Gdzie dzieci niegrzeczne, w nauce leniwe
do pracy nieskore, na łakocie chciwe,
tam Święty Mikołaj idzie jakby z musu
byle co położy i nie traci czasu".

(o murzynku)
„Wpada Zambo prosto z dachu
i Piotrusia dla postrachu
wkłada na dno worka w mig
chociaż Piotruś zaraz w krzyk".

Gramatycznie. Stylistycznie. Pedagogicznie. Ślicznie.

Atak od strony wartości artystycznej wymienionych utworów, innym razem. Zbyt denerwujące zajęcie.

Jedno zdanie w ostatniej książce ma sens: „Naśladownictwo prawnie zastrzeżone". Taki tytuł powinna mieć antologia literatury zakazanej dla dzieci, o której marzę.

Jaskółka

W OSTATNIM 5 (134) NUMERZE „WSI" z dnia 1 lutego 1948 r.

Redaktor naczelny — **Jan Aleksander Król.**

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 5.000 zł.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 40.—zł. kwartalnie 120.—zł. półrocznie 240.—zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

PKO ŁÓDŹ VII — 1080

Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—018849